

Karol May

# Wyleczenie



Leśna  
Różyczka

Tom  
5

Część II

W poszukiwaniu  
zemsty





*Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se”, czyli „Książę Skal”*

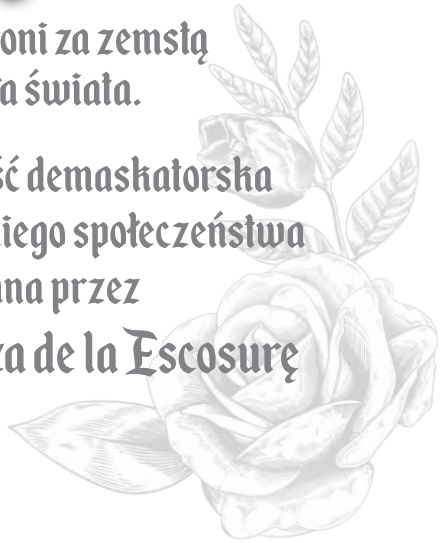


KAROL MAY

# Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą  
dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska  
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa  
napisana przez  
Ramona Diaza de la Escosurę



---

WYLECZENIE



Karol May

# Wyleczenie

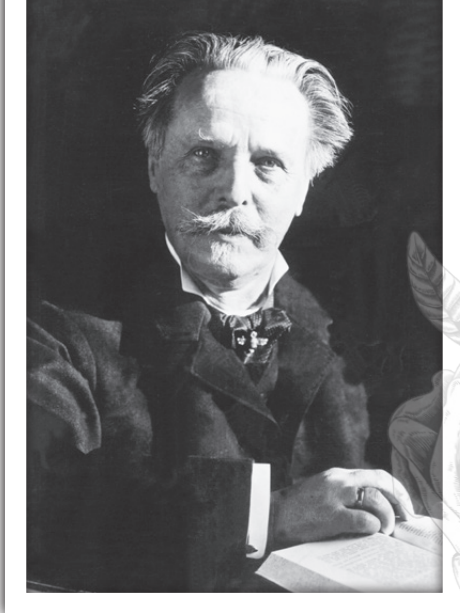


Przełożyła Iwona Kapela

Leśna  
Różyczka

Tom  
5

Część II  
W poszukiwaniu  
zemsty



Sto dwudzięta ósma  
publikacja elektroniczna  
wydawnictwa JAMAKASZ

Piąty tom kolekcji  
„Leśna Różyczka”

Karol May

**Tytuł oryginału niemieckiego:** *Waldröschen oder Die Rächerjagd rund um die Erde*

© Copyright for the Polish translation by Iwona Kapela, 2023

Artystyczny przekład fragmentów poezji © Copyright for the Polish translation  
by Stefan Pastuszewski, 2023

**71 ilustracji, w tym 24 kolorowe karty tablicowe** anonimowego twórcy zaczerpnięte  
z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

**podkolorowanie:** Dariusz Kocurek

**Redaktor kolekcji:** Andrzej Zydorczak

**Redakcja:** Elżbieta Rogucka

**Przypisy:** Iwona Kapela, Elżbieta Rogucka, Andrzej Zydorczak

**Korekta:** Piotr Plachta, Andrzej Zydorczak

**Koncepcja graficzna, projekt i konwersja do formatów cyfrowych:** Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISBN 978-83-66980-01-3 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-02-5 (tom 5)



**Wydawnictwo JAMAKASZ**  
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com  
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758  
Ruda Śląska 2024

## ROZDZIAŁ CZWARTY

# WYLECZENIE

*Mą duszę gnębi ciemny duch,  
Nie cetnar<sup>1</sup>, ale kamień ciężki.  
A wokół cisza, żaden ruch.  
Mgła potęguje męki.*

*I zobaczyłem swoją śmierć,  
Serce me biło bez czucia,  
Świat wokół pisał czarny wiersz.  
Nie będę mógł, a będę musiał.*

*A kiedy znów ujrzałem świat  
Do zemsty wzywał każdy głos.  
Minuty, dni i wiele lat  
Bierze we władzę krwawy los.*

**O**d tego dnia w Josefie Cortejo nastąpiły niezwykle zmiany. Niewiele rozmawiała ze swoim ojcem. Jej pokojówka opowiadała mu, że *señorita* ciągle stoi przed lustrem, aby się przyozdobić, ale potem zawsze ponownie zrywa kwiaty oraz biżuterię, i krzyczy przy tym gniewnie:

– Jaka brzydka, jaka okropna! Żadne złoto, żadne kamienie, żadna róża tego nie zmieni!

A gdy Cortejo podkładał się pod pokój córki, to słyszał z jego wnętrza, jak rozmawia sama ze sobą w taki sposób, jakby ktoś z nią był. Tymczasem wiedział, że jest sama. A potem, kiedy przyłożył ucho do drzwi, to słyszał, jak cicho mówi:

<sup>1</sup> *Cetnar* (łac. *centenarius*, 'setny, zawierający sto', od *centum*) – pozaukładowa jednostka miary, wynosząca ok. 50 kg.



– Och, jak kocham, jak bardzo kocham ciebie, chodź, pocałuj, och, pocałuj mnie!

Kiedy natomiast przyszedł innym razem i nasłuchiwał, to usłyszał, jak gniewnie wykrzykuje:

– Nielitościwy, zabiję cię, uduszę! Nienawidzę cię, bo wydarłeś mi serce z piersi!

Kompletnie nie wiedział, co ma o tym myśleć. Dlatego pewnego razu zmusił się do wejścia do niej, by poważnie z nią porozmawiać. Zastał ją stojącą przed lustrem. Ubrana była w wydekoltowaną suknię i przyglądała się sobie, zastanawiając się, czy jest piękna. Jednak jej chude ramiona, wyschnięta szyja, spiczasty kark oraz niewielki biust jeszcze bardziej uwydatniały jej brzydotę.

– Co ty robisz! – zbeształ ją. – Myślę, że sfiksowałaś!

Odrzuciła się szybko i gdy go zobaczyła, zacierwieniona narzuciła chustę na swoje obnażone wdzięki, którym brakowało wszelkiego uroku.

– Co robisz? Przymierzam suknie – usprawiedliwiała się.

– To mają być suknie? Komu chcesz się tak pokazać?

– Nie jestem jeszcze zupełnie gotowa. Chcę pójść dzisiaj na Fantasię<sup>2</sup>.

– Ach, nareszcie rozsądne słowo! Więc chcesz wyjść? Znaczy się na Fantasię? To dobrze, pójdz z tobą. Będzie tam cała szlachecka śmietanka. Pierwszą nagrodą jest kosztowny sprzęt jeździecki, który hrabina Montala podaruje zwycięzcy.

– Hrabina Montala? Dlaczego ona? Nie ma nikogo innego?

– Jest najpiękniejsza. A może ty chcesz rozdawać nagrody? – rzekł i roześmiał się.

Jej oczy rozbłysły gniewnie, ale zacisnęła zęby i odwróciła się.

– Rozważyłaś sobie to, co ci wczoraj mówiłem?

– Nie – odpowiedziała zimno.

– Dlaczego nie?

– Nie mam czasu.

---

<sup>2</sup> *Fantasia* – arabska zabawa jeździecka w formie barwnego, dynamicznego przedstawienia, obecnie popularna w krajach Afryki Północnej, wcześniej nazywana „grą prochu” lub „grą koni”.

– Nie masz czasu! – odburknął ze złością. – Czy kiedyś znalazłaś czas, żeby zająć się naszymi wrogami? Przed chwilą dowiedziałem się, kiedy wyjeżdżają.

Po tych słowach w mig się do niego odwróciła i zapytała drżącym głosem:

– Kiedy odjadą?

– Pojutrze.

Wyglądało, jakby jej blada twarz stała się jeszcze bledsza, ale oparowała się i powiedziała zimno:

– Jak chcą, to niech jadą!

– Co? Jak chcą? Mamy pozwolić uciec prawdziwemu hrabiemu de Rodriganda?

– Falszywy nie przynosi nam też żadnego pożytku!

– Nie możesz tak mówić! Obiecałem ci przecież wczoraj, że ma się z tobą ożenić. Napiszę do mojego brata.

– Zaczekaj jeszcze!

– Do kiedy?

– Do pojutrze!

Pokiwał głową. Nie pojmował i nie rozumiał jej. Była dla niego zagadką.

– Więc idziesz na Fantasię? – dopytywał się.

– Tak.

– Będę ci towarzyszył.

– Pójdę sama.

Ponownie pokiwał głową i uznał, że najlepiej będzie się wycofać. Jednak ledwie odszedł, zarygłowała za nim drzwi, odrzuciła chustę i zaczęła nakładać puder na szyję, biust, czoło i kark, a na policzki położyła róż. Chciała zobaczyć, czy w ten sposób mogłaby stać się ładniejsza.

Wtedy ktoś cicho zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zapytała.

– Amaika.

Doskoczyła do drzwi, nie okrywając swojej nagości i otworzyła je. Weszła stara Indianka. Służyła w domu i cieszyła się zaufaniem *señority*,

której stała się właściwie pokojówką do pogaduszek. Josefa ponownie zamknęła drzwi, stanęła przed lustrem i zapytała:

– Amaika, spójrz na mnie! Jestem piękna czy brzydka?

Stara złożyła ręce i odpowiedziała:

– Brzydka? Och, Madonno, jak pani mogłaby być brzydka! Piękna, jest pani bardzo piękna!

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tak, na moją biedną duszę! – zaklinała się obłudnie stara.

– Więc puder rzeczywiście pomaga! Czy powinnam jeszcze bardziej zaróżowić policzki?

– Nie, *señorita*. Tak wygląda pani prawdziwie czarująco i uroczo. Każdy mężczyzna musi panią kochać!

– Mężczyzna, tak, mężczyzna, ale nie on!

– On? – zaśmiała się Indianka. – On też panią pokocha. Obejmie panią i pocałuje, gdy podejdzie pani do niego dziś wieczorem na Fantanii. Jest pani przecież tak urocza, że zupełnie nie będzie mógł się oprzeć!

– Ale czy on przyjdzie?! – zastanawiała się, czując się mile polechtana.

– Przyjdzie.

Te słowa zostały wypowiedziane tak pewnym tonem, że ta pewność zwróciła uwagę Josefy. Szybko odwróciła się do Indianki i zapytała:

– Wiesz to dokładnie?

– Bardzo dokładnie, *señorita*. Wie pani, że czuвам nad panią i zrobię wszystko, by widzieć panią szczęśliwą.

– Kto tak mówi, że on przyjdzie?

– Ten kawałek papieru.

Wyciągnęła przy tym z kieszeni długą, zapisaną kartkę papieru i podała ją Josefie.

Od czasu do czasu znakomici mieszkańcy Meksyku urządzają dzikie igrzyska walki, w których często zdobywa się bardzo znaczące nagrody. Odbywają się one pod wieczór, kiedy żar słońca nie jest już tak uciążliwy, a jeszcze wieczorem odbywa się maskarada, w której może uczestniczyć każdy, kto ma ochotę i znajduje radość z takich rzeczy. Najważniejsi *señores* biorą udział w tych bijatykach, naprawdę często zagrożających życiu, a każdy porządny cudzoziemiec jest wpuszczany

na arenę, oczywiście z bronią, którą sobie wybierze. Takie igrzyska są nazywane Fantasia i dzisiejszego wieczora miała się odbyć podobna impreza. Papier, który przyniosła stara kobieta, zawierał nazwiska tych, którzy chcieli walczyć.

Josefa po cichu czytała te nazwiska po kolei, ale dwa wypowiedzia-  
ła głośno:

– *Señor* Carlos Sternau z lassem, strzelbą, szpadą i sztyletem. *Señor* Alfred de Lautreville ze strzelbą, szpadą i sztyletem.

Tak brzmiały oba nazwiska.

– Ach, wiedziałam, że on jest bohaterem! – westchnęła. – Walczy nie tylko jedną bronią, lecz trzema. Wygra nagrodę. Och, gdyby mógł ją dostać z moich rąk!

Indianka zrobiła bardzo przebiegłą minę.

– Może tak da się zrobić – powiedziała.

– W jaki sposób? Przecież nagrody rozdaje hrabina Montala!

– Te nagrody, tak. Ale czy pani nie może również dać mu inną nagrodę?

Josefa zarumieniła się i zapytała:

– Jaką?

– Pocałunek, objęcie, prawdziwe, serdeczne i czułe!

– Może. Będziesz mi towarzyszyć i zatroszczysz się o to, bym go spotkała.

Na to stara zgodziła się z całego serca i obie poczyniły swoje przygotowania do radosnego wieczoru.

Podobne przygotowania czyniono także w *palazzo* lorda Lindsaya. Mariano zupełnie już wyzdrowiał. Jego oczy ponownie błyszczwały, jego lica zaokrągliły się i świeżo zarumieniły; mógł hasać na koniu z taką samą pewnością, jak wcześniej. Dlatego postanowił wziąć udział w Fantasier, a Sternau obiecał mu, że zrobi to samo.

Nawiasem mówiąc, w ostatnich dniach Sternau był bardzo mało mówny i zamyślony, a to w wyniku pewnej krótkiej rozmowy. Wieczorem po owym śniadaniu, w którym wzięli udział oboje Cortejowie, lord zapytał go w cztery oczy:

– Panie Sternau, co powie pan o księciu Olsunnie?

- Ma pan na myśli pomyłkę?
- Tak i pańskie podobieństwo do niego.
- To rzadka i interesująca gra natury, nic więcej.
- Uważam, że jest ono uderzające. Pański ojciec był Niemcem?
- Tak.
- A pańska matka?
- Ona również.
- Czy przedwczoraj nie mówił pan Marianowi o tym, że pańska matka była wychowawczynią w Hiszpanii?
- Tak w istocie było.
- Cóż, mój przyjacielu, nie chcę uwłaczać czci pańskiej matki, ale nie wydaje się, aby takie podobieństwo powstało przypadkowo. Niech pan o tym pomyśli!

Faktycznie, Sternau zaczął się zastanawiać. Ale te rozmyślenia ukazywały mu się jako grzech przeciwko matce. Walczył z rodzącymi się myślami, ale w pełni ich nie opanował i aby się rozerwać, chętnie zgodził się wziąć udział w Fantasii.

Zbliżało się popołudnie i tysiące ludzi wyległo na równinę, gdzie została wyznaczona arena dla walczących. Wojownicy zebrali się w jednym wskazanym miejscu i potem wyjechali konno. Gdy cała kawalkada dojechała do placu, na jej widok rozbrzmiał grzmiący okrzyk. Wiele kobiecych oczu rozbłysło na widok odważnych osobników, którzy nie obawiali się wykazać swoich umiejętności w walce.

Na wzniesionej trybunie siedzieli sędziowie, otoczeni znacznym wiankiem dumnych i pięknych kobiet oraz dziewcząt. Między nimi znajdowała się hrabina Montala, najpiękniejsza wdowa w całym kraju. Wielu o nią zabiegało i przez wielu była uwielbiana, ale żaden nie zdołał znaleźć w jej oczach łaski. U jej boku siedziała przyjaciółka, która przybyła z Morelii, by obejrzyć igrzyska.

Właśnie zbliżył się pochód wojowników. Wszyscy bez różnicy byli odziani w bogate meksykańskie stroje. Wtedy przyjaciółka szturchnęła hrabinę i zapytała:

- *Dios*, kim jest ten jeździec, który właśnie przejeżdża przez wejście na karym koniu?

– Nie widziałaś go jeszcze? – odpowiedziała hrabina pytaniem na pytanie.

– Nigdy.

– No tak. Od trzech tygodni nie było cię w stolicy.

Piękna hrabina podążyła za jeźdźcem, wodząc za nim błyszczącym wzrokiem i zapomniała przy tym, by udzielić przyjaciółce odpowiedzi.

– No i...? – przypomniała ta.

– Jest Niemcem – brzmiała krótka odpowiedź.

Przyjaciółka spojrzała badawczo na hrabinę, uśmiechnęła się tajemniczo i potem zapytała:

– Niemcem! To wszystko, co o nim wiesz?

– Jest gościem angielskiego lorda.

– Lorda Lindsaya?

– Tak.

– Zatem nie jest zwykłego stanu, ponieważ Lindsay jest wybitną osobą.

– Przeciwnie, jest lekarzem.

– I nazywa się...?

– Na liście walk widnieje jako Carlos Sternaud.

Przyjaciółka znowu się uśmiechnęła.

– Na liście walk? Nie znałaś i nie słyszałaś wcześniej tego nazwiska?

– Słyszałam, ale zapomniałam.

– Niezwykle!

– Dlaczego?

– Sądzę, że ten, kto zobaczy tego mężczyznę, nie może go nigdy zapomnieć. Tobie przynajmniej udało się z nazwiskiem. Spójrz, co za postać!

– Zbyt masywna, zdecydowanie zbyt masywna!

Przyjaciółka po raz trzeci uśmiechnęła się tajemniczo.

– To kwestia gustu – stwierdziła.

– Nie spodziewam się po jego silnej sylwetce żadnej zwinności. A jak Niemiec może w lasie i sztylcie mierzyć się z Meksykaninem? Niemcy są zbyt spokojni. Mogą posiadać co najwyżej trochę praktyki w używaniu karabinu i szpady.

– Ganisz go, zatem jest dla ciebie niebezpieczny!

– Ba! – prychnęła dumnie hrabina.

Jednocześnie nie spuszczała wzroku z okazałej postaci Sternaud.

– A kim jest ten *señor* u jego boku? – zapytała przyjaciółka.

– To przyjaciel Niemca i również gość angielskiego wysłannika. Jest oficerem i nazywa się Alfred de Lautreville.

– Zdaje się, że znasz dokładnie tych cudzoziemców?

– Co chcesz! Wszystkie tutejsze światowe damy durzą się w nich.

– Naturalnie oprócz ciebie.

– Nie zaprzeczę. Jest się odpornym na to, co inni nazywają miłością.

Dziękuję!

Po tym, jak każdy z wojowników zajął swoje miejsce, zaczęła się gra. Najpierw walczone szpadami, zawsze dwóch przeciwko dwóm, a potem zwycięzcy ze sobą. Klinga Sternaua nie miała żadnej przeciwko sobie, a zwinność Mariana sprostala każdemu. Doszło zatem do tego, że obaj mieli walczyć ze sobą o nagrodę, ale Sternau poddał się i dobrowolnie zrezygnował.

– Widzisz – odezwała się hrabina do przyjaciółki – jego nieokrzesa-  
na siła obawia się zręczności przyjaciela. Nie zdobędzie żadnej nagrody.

Teraz przysła kolej na sztylety. W tej broni Meksykanie mieli zna-  
czącą praktykę. Tutaj nie mogło obyć się bez ran. Wielu krwawiło, inni  
się wycofali. Tylko jeden nie został nawet draśnięty, mianowicie Ster-  
nau. Pozostawał zwycięzcą.

– No, czy nadal ciągle brakuje mu zręczności? – zapytała przyjaciółka.

– Przypadek!

– Kiedy walczy jeden z dwudziestoma i zostaje zwycięzcą, ty nazy-  
wasz to przypadkiem?

Hrabina milczała, ponieważ teraz dosiadano koni, by rzucać lassem.  
Jechano po dwóch, z czego jeden próbował ściągnąć z konia drugiego.  
Przegrany wracał, a zwycięzca pozostawał gotowy do walki z kolejnym.

Przyjaciółka zdawała się czerpać przyjemność z drażnienia hrabiny.

– Wierzysz, że Niemiec potrafi używać lassa? – zapytała.

– Nie.

– Zatem nie byłoby mądre z jego strony, by chcieć się mierzyć z innymi.

– Nagroda, którą teraz ma zdobyć, powoduje, że jest pijany radością  
i nieostrożny.

– Hm, to był już pijany i nieostrożny, zanim otrzymał tę nagrodę, bo przecież już podjął decyzję o walce na lassa.

Tym razem rozstrzygnięcie walk kazało na siebie długo czekać, a kiedy w końcu było po wszystkim, nagrodę zdobył ponownie Sternau. Ani razu nie zachwiał się w siodle, ani jedno lasso nie było w stanie go złapać, gdy tymczasem on zrzucił wszystkich przeciwników z koni.

Rozpoczęło się czwarte starcie na strzelby. Zostały ustawione tarcze i tutaj również Sternau pokonał wszystkich innych. A kiedy oddał decydujący strzał, wysoko w powietrzu szybował wielki, białogłowy sęp. Sternau w milczeniu wskazał na ptaka i załadował karabin.

Dał się słyszeć głuchy pomruk. Nikt nie wierzył, że kula dosięgnie ptaka, ale już rozbrzmiał strzał Sternaua i sęp spadał na ziemię, zataczając się wąską spiralą. Tysiąc donośnych głosów wydało okrzyk radości, nagradzając w ten sposób mistrzowski strzał.

W tym momencie zwycięzcy zbliżyli się do trybuny. Nikt o tym wcześniej nie pomyślał: było tylko dwóch, w dodatku dwóch obcych. Meksykańskie kostiumy pasowały im równie dobrze jak krajowcom, a kiedy teraz otrzymywali nagrody, to kłaniali się z taką samą rycerską godnością, jak gdyby byli przyzwyczajeni do codziennego otrzymywania nagrody z pięknych rąk.

Teraz igrzyska dobiegły końca i rozpoczęła się maskarada. Zwyczaj zabraniał noszenia przebrania tylko tym, którzy brali udział w walkach. Sternau i Mariano oddali swoje konie i nagrody jednemu ze sług lorda i z przyjemnością spacerowali po placu, ale później zostali rozdzieleni.

Dwaj zawodnicy stali obok siebie i rozprawiali o wynikach dzisiejszej rozgrywki. Byli niezwykle wściekli, że ci dwaj obcy tego dnia zabrali im zaszczyty.

– Jak sądzisz, Gonzalvo – zapytał jeden z nich – czy dopuszczanie nieznamomych jest w ogóle właściwe?

– Nie, zwłaszcza takich słoni, którym nie może się oprzeć żaden człowiek. Jeśli przyjdzie mi ochota, zadam temu *señorowi* Sternauowi małe pchnięcie w plecy, po którym powinien mieć dość.



– Weź mnie pod uwagę. Ale skąd zdobędziemy pieniądze, aby wykupić od pobożnych ojców rozgrzeszenie za taki czyn?

– To jest to, co mnie też martwi, inaczej mój sztylet już byłby w jego ciele. To nie jest mała rzecz, by pewnego dnia udać się do tego innego świata z morderstwem na sumieniu.

W ich pobliżu stał inny mężczyzna w masce, któremu nie umknęła ta cicha rozmowa. Teraz tajemniczy osobnik podszedł bliżej i zapytał:

– Ile kosztuje to rozgrzeszenie u świątobliwych ojców, *señores*?

– Co to pana obchodzi? – ofuknął go Gonzalvo.

– Może bardzo dużo.

– Dlaczego?

– Ponieważ chcę panu podarować tę sumę.

– Do wszystkich diabłów! Czy to prawda?

– Tak – przytaknął człowiek w masce.

– Kimże pan jest? – zapytał Gonzalvo.

– To nie ma nic do rzeczy. Jestem dokładnie tak jak pan zły, że ten człowiek nam, Meksykanom, odbiera nagrody. Pchnąć szpadą zuchwałca! Płacę za rozgrzeszenie.

– Ale za to musi być ładna sumka, przyjacielu!

– Ile?

– Pięćdziesiąt pesos dla nas dwóch.

– Dam wam sto, jeśli ten Sternau w ciągu godziny pożegna się z życiem.

– Kiedy nam pan je da?

– Zaraz po wykonaniu zadania.

– Gdzie?

– Gdzie panu pasuje i się podoba.

– Brzmi nieźle, ale jeśli zadanie zostanie wykonane, a pan nie zechce zapłacić, to nie będziemy mogli nic zrobić!

– To mnie pchniecie!

– Czy zna pan nas? Niech pan zdejmie na chwilę maskę!

Właściciel maski zrobił, jak oni zażądali i obaj mężczyźni zobaczyli jego twarz.

– Ach, znam pana, *señor* Cortejo – powiedział Gonzalvo. – Nas pan nie oszuka. Wykonamy naszą robotę i jutro rano odbierzemy zapłatę.



*Ani razu nie zachwiał się w siodle, ani jedno lasso nie było w stanie go złapać, gdy tymczasem on zrzucił wszystkich przeciwników z koni.*



Obaj mężczyźni wzięli się pod ręce i pożegnali Corteja.

Brzmi to niewiarygodnie, że taką umowę zawiera się tak łatwo i szybko, ale kto mieszkał w Meksyku, ten wie, że nie jest to wcale rzadkością.

Mariano, gdy stracił Sternaua z oczu, dzielnie rzucił się w tłum ludzi. Cieszył się, że odzyskał świeżość ciała i w efekcie kierował się tylko w te miejsca, które wymagały trudu, żeby przebić się przez ludzi. Wtedy nagle ktoś złapał jego dłoń i u swego boku zobaczył kobiecą maskę, która odciągnęła go na bok. Wyglądało to na przygodę, więc poszedł za nią.

Gdy mieli już za sobą tłum, poprowadziła go do zwalonych murów akweduktu.

– Niech pan usiądzie, *señor* – powiedziała. – Mam z panem do pomówienia.

Grzecznie zastosował się do tego polecenia, po czym oparł się wygodnie plecami o wysoki mur.

– Zatem, *señora* – odezwał się uprzejmie – jestem pani posłuszny, teraz proszę również być tak dobrą i powiedzieć mi, czego pani ode mnie oczekuje.

– Chcę panu zadać pytanie – odpowiedziała.

– Proszę mówić!

– Czy mogę najpierw usiąść obok pana?

– Tak, proszę.

Usiadła u jego boku, czym spowodowała głośny szmer, w wyniku którego oboje nie słyszeli dźwięku po drugiej stronie muru.

Lord Lindsay również wpadł na pomysł zamaskowania się. Zauważył Mariana i chciał się z nim trochę podrażnić. Jeszcze nie zdołał do niego dotrzeć, gdy młodego mężczyznę przejęła kobieca maska. Dało to mile widzianą okazję, aby dowiedzieć się czegoś więcej o charakterze Mariana. Jeśli bez zbędnych ceregieli wda się w romans, wtedy nie byłby wart Amy. Dlatego Lindsay podążył za nim i gdy zobaczył, gdzie oboje usiedli, ukrył się po drugiej stronie muru, skąd mógł słyszeć każde słowo.

– Cóż, proszę zaczynać, *señora* – usłyszał teraz głos Mariana.

– Najpierw proszę przysiąc, że pod żadnym warunkiem nie każe mi pan zdjąć maski, *señor*!

- Czy jest pani tak brzydka, że nie wolno pani oglądać?
- To nie to. Nie chcę zostać rozpoznana, chyba że panu na to pozwolę.
- No dobrze, daję pani moje słowo.
- Nie żądam słowa, tylko pańskiej przysięgi!
- Dobrze, więc składam przysięgę. Teraz jednak niech pani zaczyna!
- Proszę mi powiedzieć, czy ma pan narzeczoną, *señor*?
- Nie.
- A kochankę?
- Czy koniecznie musi pani to wiedzieć?
- Tak. To, co chcę panu powiedzieć, ma dla pana ogromne znaczenie.
- Brzmi to bardzo stanowczo, No, zresztą mogę być szczery, Tak,

mam ukochaną.

– I jest pan dla niej dobry z całego serca?

– Nie potrafię bez niej w ogóle żyć.

Spod maski wydobyło się długie, głębokie westchnienie. Potem pytała dalej:

– Czy pod żadnym pozorem nie zostawi jej pan?

– Pod żadnym.

– Ale ona nie jest jeszcze pana narzeczoną, panną młodą, czy żoną!

– To nie ma znaczenia. W moim sercu przysięgłem jej wierność i dotrzymam tej przysięgi.

– Nie opuści jej pan z chęci wielkiego zysku?

– Nie sądzę.

– A jeśli teraz chodzi o szczęście i życie?

– Moje szczęście należy do niej, a moje życie do Boga. Dotrzymam mojej przysięgi!

Umilkła i ciągle jeszcze dało się słyszeć poprzednie długie, głębokie westchnienie. Potem odezwała się energicznym tonem:

– Chcę wierzyć, że teraz tak pan myśli, ale później będzie inaczej.

Postanowiłam być szczerą, więc wyznam panu, że pana kocham.

– Do stu piorunów! – wykrzyknął zaskoczony. – Mam dla pani zostawić moją ukochaną?

– Tak.

– To nie wchodzi w rachubę!

- Dlaczego nie?
- Bo kocham ją, a nie panią.
- Nie zna mnie pan. Może jestem piękniejsza niż ona!
- Możliwe, ale mało prawdopodobne!
- I bogatsza!
- To nie ma znaczenia.
- Szlachetnie urodzona i z lepszym charakterem!
- To niemożliwe!
- Z pewnością pokochałby mnie pan!
- Znienawidziłbym panią i stracił do siebie szacunek, gdybym zła-  
mał moją przysięgę.

Wydawała się zastanawiać przez długą chwilę. Potem poprosiła mięk-  
kim głosem:

- Proszę dać mi swoją rękę.
- Proszę.

Chwyciła jego dłoń i poprowadziła pod płaszcz.

– Niech pan dotknie mego serca, *señor* – powiedziała – i poczuje,  
jak dla pana bije!

– *Caramba*, co pani przychodzi do głowy! – oburzył się. – Mogę  
dotknąć pani płaszcz, ale nic poza tym. Na litość boską, niech pani nie  
mówi, że jest pani dobrą, uczciwą dziewczyną!

Wzdrygnęła się i odpowiedziała na wpół gniewnym tonem:

- Jestem nią! Robię to, co robię, bo pana płomiennie kocham.
- Tak mi przykro, bo naprawdę nie mogę pani pomóc.
- To ja również panu nie pomogę!

Wypowiedziała to zdanie tonem, który przykuł jego uwagę.

– Ja również nie wiem, w czym mogłaby mi pani pomóc! – powie-  
dział.

- Och, w czymś najwyższej wagi! – odrzekła.
- Ach? Czy wolno mi wiedzieć?
- Tak. Nazywa się pan Alfred de Lautreville, ale nim nie jest!

Był zaskoczony i zapytał:

- Kim zatem jestem?
- Pana prawdziwe nazwisko powinno brzmieć: Alfonzo de Rodriganda.



– Niech pan dotknie mego serca, señor – powiedziała – i poczuje, jak dla pana bije!

Wtedy szybko chwycił ją za ramię, pochylił się ku niej i powiedział:

– Kobieto, co ty mówisz? Skąd to wiesz? Kim jesteś?

Zniosła ostry nacisk jego ręki, nie wypowiadając ani słowa bólu, bo ten ból był dla niej rozkoszą, ale odpowiedziała:

– Za późno mnie pan o to pyta!

– Musi pani mi powiedzieć!

– Muszę? Kto mnie zmusi?

– Ja.

– Jak?

– Dowiem się, kim pani jest!

– Przysiągł pan, że zostawi mi maskę i jak przysięgi zakochanego, dotrzyma pan słowa.

Puścił jej ramię i powiedział:

– Ma pani rację. Dotrzymam mojego słowa. Więc pani wie, kim właściwie powinienem być?

– Tak i nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Wiem lepiej niż pański kapitan, niż pański Sternau, niż pański kapitan Landola. Wiem lepiej niż wszyscy, wszyscy, wszyscy.

– I nie chce mi pani powiedzieć?

– Nie. Mogę powiedzieć tylko ukochanemu. Zostaw swoją dziewczynę!

– Nigdy!

– Czy ta przekłeta Amy jest rzeczywiście lepsza niż hrabiostwo? – zapytała gniewnie.

– Po tysiakkroć lepsza! Ale skąd znasz pani to imię Amy?

– Co cię pana obchodzi? Pomyśl pan, co robisz! Daję dziesięć minut na zastanowienie się. Nie chodzi tylko o pana, ale także o innych. Być może pański ojciec wciąż żyje, podobnie jak pański stryj Ferdinando!

Poderwał się na równe nogi.

– Kobieto, jesteś wszechwiedząca! – zawołał przerażony.

– W pańskich sprawach jestem. W moich rękach mam całą władzę. Kosztuje mnie tylko jedno słowo, aby pana wynieść albo pogrzebać. Kocham pana. Chcę pana mieć i dlatego proszę na wszystko o pańską miłość!



– Oferuje mi pani to wszystko nadaremnie. Moje serce nie jest moją własnością. Nie mogę go oddać.

– To sprzedaj!

– Czego nie wolno mi oddać, nie wolno mi też sprzedać!

Aż do tej pory mówiła stosunkowo spokojnie, ale teraz, gdy zobaczyła, że wszelkie jej prośby i groźby są bezskuteczne, powstała i powiedziała głosem drżącym ze zdenerwowania:

– Dałam ci wybór między miłością a nienawiścią, szczęściem a nieszczęściem, niebem a piekłem. Jeśli mnie zaakceptujesz, w ciągu tygodnia zostaniesz uznany hrabią Alfonzem. Odrzucisz mnie, to twoja dusza ma krzyżeć i ryczeć z bólu. Czas na zastanawianie się minął, wybieraj!

On również się podniósł.

– Pozostanę wierny moim słowom – odparł spokojnie i stanowczo.

– To twoje ostatnie słowo?

– Moje ostatnie!

Teraz zadrżała z zazdrości, wściekłości i żądzy zemsty.

– To jesteś stracony, ty i twoja Amy – powiedziała, a jednak dodała: – Zdecyduj jeszcze raz. Wybierz inaczej!

– Nie mogę inaczej!

– To bądź przeklęty, zakochany głupcze! Powinieneś i poznasz mnie!

– Już cię znam. Nie potrzebuję ściągać ci maski z twarzy. To, co wiesz, może wiedzieć tylko jedna osoba, a co mówisz, może powiedzieć tylko jedna. Jesteś Josefą Cortejo, córką mordercy i oszusta!

Miała zamiar odejść, ale teraz odwróciła się szybko i powiedziała:

– Myli się pan, *señor*. Nie mam nic wspólnego z tą Josefą Cortejo!

– Och, tak! Masz wszystko z nią wspólne, wszystko, nawet urodę, którą chciałaś mnie zwodzić. Wynos się stąd!

To był dla niej najgorszy cios. Zatrzymała się jeszcze na chwilę.

– Robak! – zgrzytnęła zębami. – Drżyj! Gdybyś tylko wiedział, kim jestem, rozpoznałbyś, że jesteś w mojej mocy!

– Ba! – zaśmiał się. – Ciesz się, że dałem ci moje słowo, inaczej zerwałbym maskę z twojej twarzy!

Wtedy obok niego rozbrzmiał głos:

– Ja zrobię to, bo nie dałem jej mojego słowa!

Zza muru wyszła postać w masce i podeszła do dziewczyny. Josefa zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła. Sięgnęła pod płaszcz i wyciągnęła sztylet. Jego ostrze wbiło się w rękę, która chciała ją chwycić i podczas gdy lord wydał z siebie okrzyk bólu i szybko przyciągnął do siebie rękę, dziewczyna odbiegła i kilka chwil później zniknęła w tłumie innych masek.

– Do wszystkich diabłów, miała sztylet! – zawołał Lindsay, wyciągając chusteczkę, by zatamować krew.

– Kim pan jest, *señor*? – zapytał go Mariano.

– Pańskim przyjacielem!

Głos spod maski brzmiał tak głucho, że Mariano go nie rozpoznał.

– I pan podsłuchiwał naszą rozmowę?

– Od początku do końca.

– Nie oddalając się?

– Nie oddalając się. Przyszedłem tu z zamiarem podsłuchiwania pana.

– To jest pan draniem!

– W pewnym sensie tak!

– I zasługuje pan na solidne przetrzepanie!

– Zupełnie słusznie!

– Żądam, aby zdjął pan maskę!

– Dlaczego?

– Bo chcę zobaczyć, kim jest drań, który posuwa się do podsłuchiwania tajemnic innych.

– To da się łatwo zrobić.

Zdjął maskę i stanął twarzą w twarz z Marianem, który pomimo ciemności rozpoznał go. Wystraszył się i odrzekł:

– Milordzie, to pan! Proszę mi wybaczyć!

– Ech, to ja jestem tym, któremu trzeba wybaczyć – powiedział Lindsay. – Czy wybaczy mi pan, że go podsłuchiwałem?

– Chętnie, milordzie, ale każdego innego wychłostałbym.

– Wierzę panu. Jest pan piekielnym facetem! Tkwi pan w potężnym imadle. Ta baba urządziła panu gorące piekło. Naprawdę myśli pan, że to córka Corteja?

– Z pewnością to ona.

– Ja też jestem o tym przekonany. Niestety, nie złapałem jej i teraz nie możemy niczego udowodnić, pomimo wyznania, jakie poczyniła. Proszę mi zawiązać chustkę wokół dłoni. Będę miał po tym szramę.

Rana została opatrzona, następnie lord ponownie założył maskę, wsunął swoje ramię pod ramię młodego mężczyzny i oddalili się razem.

Mariano podążył wraz z nim bardzo szczęśliwy, świadomy, że Lindsay wszystko słyszał. Teraz lord dokładnie wiedział, że on kocha Amy, a ta myśl dawała Marianowi nadzieję, że pragnienie jego serca od teraz nie napotka żadnej trudności, która by była nie do pokonania.

Sternau, po tym, jak stracił z oczu Mariana, powędrował w przeciwną stronę. Chodził od grupy do grupy i nie zauważył przy tym, że podąża za nim dwóch mężczyzn. W końcu hałas stał się dla niego męczący i zawrócił, by wyjść poza tłum. Było tam cicho. Szedł dalej, pogrążony w głębokich rozważaniach.

Myślał o ojczyźnie, o kobiecie swego serca, o starym nadleśniczym, o matce i siostrze, ale jeszcze nie zauważył, że za nim skradali się dwaj osobnicy. Wreszcie chciał zawrócić, ale w następnej chwili, po odwróceniu się, upadł na ziemię.

Obaj mordercy nie pomyśleli, że przy obrocie musiał ich natychmiast zobaczyć, ponieważ za nimi rozpościerał się jasno oświetlony plac igrzysk i ich postacie musiały być widoczne w jego świetle.

Tak więc Sternau natychmiast ich zauważył. Było jasne, że szli za nim w jakichś złych zamiarach, więc zniknął im z ową szybkością i przytomnością umysłu, które charakteryzują człowieka z prerii. Przeczolgał się na bok po ziemi i pozwolił im podejść. Zatrzymali się w jego pobliżu i próbowali przebić wzrokiem nocną ciemność.

– Nie widzę go – powiedział jeden z nich. – A ty?

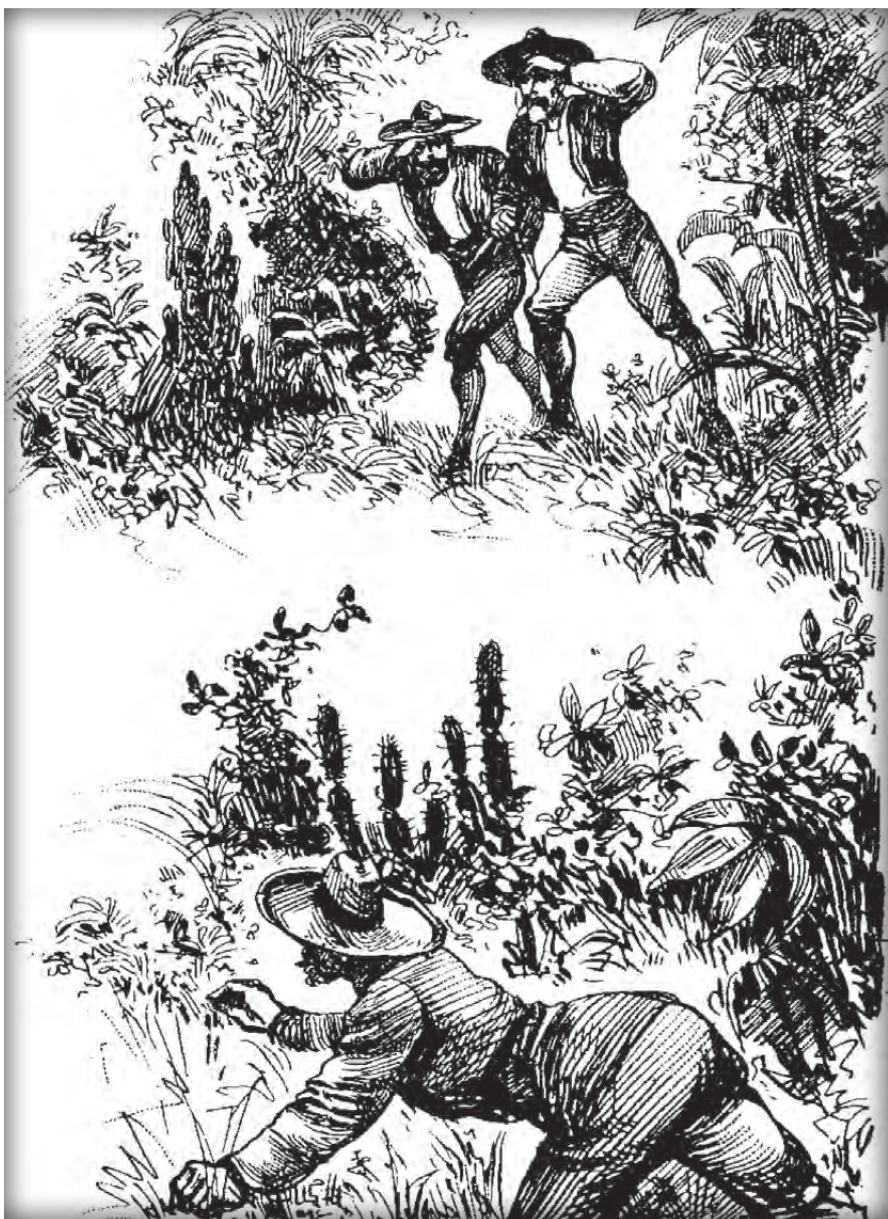
– Też nie.

– Musiał gdzieś usiąść.

– Albo zmienił kierunek.

– To byłoby przekleństwo! Jeśli zawrócił na plac, to będziemy mieli trudniej. Tu mielibyśmy łatwą robotę.

– Niedługo zarobimy sto pesos. Musimy się rozdzielić, a kto z nas go spotka, ten zada pchnięcie.



*Zatrzymali się w jego pobliżu i próbowali przebić wzrokiem nocną ciemność.*

– Dobrze, idź bardziej na prawo, a ja bardziej na lewo!

Sternau rozważał, co powinien zrobić. Uznał za najmądrzejsze, że pozwoli im odejść. Gdyby ich powalił i wskazał policji, to nie mógł im przecież udowodnić, że go śledzili. Poczekał więc, aż oddalą się wystarczająco daleko, po czym wrócił na plac, na którym wkrótce spotkał Mariana i lorda.

Opowiedział im swoją przygodę i obaj natychmiast nabrali przekonania, że zadanie wyszło od Corteja. Uznali, że najlepiej będzie wrócić do domu, co też natychmiast uczynili. Przybywszy do *palazzo*, zostali przywitani przez Amy, która wprawdzie podczas walk była na placu, ale potem natychmiast wróciła.

– Oto wracają zwycięzcy! – zawołała radośnie, wiodąc trzech mężczyzn do salonu. – Naszym obowiązkiem jest być z was dumnymi.

– Przed wszystkim z potrójnego zwycięzcy – oświadczył Mariano, wskazując na Sternaua.

– Także z tego drugiego – dodał lord. – Nasz przyjaciel odniósł zwycięstwo w jeszcze jednej walce, która była znaczniejsza niż wcześniejsze. Dlatego powinien dostać nagrodę.

Wziął rękę Amy i położył na prawej dłoni Mariana.

– Kochacie się, dzieci, i jesteście siebie godni. Bądźcie szczęśliwi, tak jak ja wam tego życzę!

To była niespodzianka, o której nikt nie pomyślał, a nagroda taka, jakiej jeszcze nigdy nikt nie wypłacił za walkę. Oboje zakochani padli sobie w ramiona, a następnie przyciągnęli łaskawego lorda do siebie. Wieczór stał się radosnym i rozkosznym wieczorem, zupełnie inaczej niż u Corteja, który przyszedł do domu, aby w przypadku, gdyby Sternau został zabity, móc udowodnić, że nie znajdował się w pobliżu.

Po pewnym czasie wróciła również Josefa. Jej oblicze płonęło, a oczy błyszczały. Zrzuciła z siebie strój maskaradowy i energicznie weszła do pokoju ojca.

– Ojczy, ten Sternau pojutrze jedzie do hacjendy? – zapytała.

– Tak.

– Sam?

– Nie, jadą z nim dwaj pozostali.

– Chcesz pozwolić im uciec?

Spojrzał na nią zaskoczony i odpowiedział z tłumioną ironią:

- Wygląda na to, że dzisiejsze przedpołudnie bardzo cię zmieniło.
- Bynajmniej, ale podjęłam decyzję.
- A ona brzmi...?
- Nie damy tym ludziom ani minuty czasu.
- To jest też moim zamiarem. Jeden z nich pewnie teraz już nie żyje.
- Który?
- Sternau.
- Ach, myślałam, że inny!
- Nie. Nasłałem na niego dwóch hidalgów<sup>3</sup>, których znam. Za sto

pesos pójda do piekła.

- Dobrze, jeden załatwiony! Ale ten drugi?
- Poczekaj do jutra, wtedy o tym porozmawiamy.

Ojciec i córka nadal siedzieli razem, gdy jacyś dwaj ludzie poprosili o przyjęcie. Zostali wpuszczeni. Byli to obaj hidalgowie. Gdy zobaczyli Josefę, chcieli wyjść, ale Cortejo nie pozwolił na to.

– Proszę wejść, *señores* – powiedział. – Moja córka może usłyszeć, co macie mi do powiedzenia. Mam nadzieję, że wasza praca została wykonana!

- Niestety, nie – brzmiała odpowiedź.

Cortejo spojrzał na nich surowo. Wydawało mu się to nie do uwierzenia.

- Dlaczego? – zapytał.

– Straciliśmy go z oczu. Wyszedł w noc, zupełnie sam. Poszliśmy za nim i więcej go nie widzieliśmy. Gdy wróciliśmy na plac, zobaczyliśmy jak z lordem Lindsayem dosiada konia.

Cortejo gniewnie pokiwał głową.

- Jesteście głupcami i tchórzliwymi najemnikami. Nie chcę was znać.
- Nadrobimy to, *señor* – odparł jeden.

– Już nie potrzebuję was. Możecie odejść. Za wasz beużyteczny, zmarnowany wysiłek powinniście dostać mały prezent. Macie tu dziesięć pesos. Podzielcie między sobą i wynoście się stąd.

---

<sup>3</sup> *Hidalgo* (hiszp.) – szlachcic hiszpański, od starohiszp. *hijo dalgo*, ‘syn czyjś, dziedzic szlacheckiego domu’.

Hidalgowie byli zadowoleni, że tak dużo dostali i wyszli. Josefa poszła odpocząć, ale nie mogła zasnąć. Knuli zemstę za swoją wzgardzoną miłość, ale nie mogła podjąć decyzji odpowiadającej sile swojej furii. Cortejo też nie spał. Zastanawiał się i rozmyślał przez kilka godzin, aż w końcu wydawało się, że podjął decyzję, bo poszedł do stajni i kazał osiodłać konia. Nad ranem opuścił miasto w kierunku północnym, a kiedy Josefa zapytała tego ranka o ojca, dowiedziała się, że jakiś czas temu wyjechał...

Nie jeden, ale dwa dni później przed *palazzo* lorda stanęły trzy porządne, silne konie, podczas gdy w mieszkaniu żegnano się.

– Więc na jak długo myśli pan wyjechać, doktorze? – zapytał Lindsay.

– Któż to może zapewnić w obecnych okolicznościach? – Brzmiała odpowiedź. – Wróćmy tak szybko, jak to możliwe.

– Mam taką nadzieję. Nie oszczędzajcie koni, bo po pastwisku biegają ich tysiące. Ma pan jeszcze jakieś życzenie?

– Tak, milordzie. Nie wiadomo, co może nas spotkać w tym kraju. Jeśli mój powrót się opóźni, proszę się zaopiekować moim jachtem i jego załogą!

– Zrobię to, chociaż nie obawiam się, że będę miał do tego powód. Bywaj pan zdrow!

Sternau i Helmers wsiedli już na konie, podczas gdy Mariano ciągle jeszcze stał na schodach i nie potrafił rozłączyć się z Amy. Wreszcie przyszedł i wyjechali z miasta dokładnie tą samą drogą, którą dwa dni temu obrał Cortejo.

Sternau wolał podróżować bez służby i przewodnika. Miał przy sobie mapę Meksyku, która była ich przewodnikiem i chociaż żaden z trzech ani razu nie pokonał tej drogi, wcale się nie zgubili.

Do hacjendy pozostał jeszcze może dzień drogi, gdy jechali przez porośniętą pojedynczymi wyspami krzaków równinę. Sternau był najbardziej doświadczony z nich trzech – nie uszło jego uwadze żadne zgniecione źdźbło, żadna odłamana gałąź, żaden kamień nieleżący na swoim miejscu. Gdy jechali tak w milczeniu, powiedział do swoich dwóch towarzyszy:

– Nie obracajcie teraz głowy ani na prawo, ani na lewo, ale zerknijcie w kierunku gęstych drzew i krzewów mydleńca<sup>4</sup>, tam na prawo, nad wodą.

– Co jest? – zapytał Mariano.

– Tam przyczał się człowiek, a jego koń jest uwiązany za nim.

– Nic nie widzę.

Helmers również zapewnił o tym samym.

– Wierzę. To wymaga ćwiczeń i doświadczenia, aby w tej gęstwinie z daleka dostrzec człowieka i konia. Skoro tylko wezmę moją strzelbę, też zróbcie to samo, ale nie strzelajcie wcześniej, dopóki ja sam nie strzelę.

Jechali dalej, aż zrównali się z zaroślami. Wówczas Sternau nagle zatrzymał konia, zerwał strzelbę z pleców i skierował lufę w stronę krzaków. Pozostali dwaj poszli za jego przykładem.

– Hola, *señor*, czego pan szuka na ziemi? – krzyknął w tamtą stronę.

Rozległ się krótki, chrapliwy śmiech, po czym dały się usłyszeć słowa:

– Co to pana obchodzi?

– Bardzo dużo – odpowiedział Sternau. – Niech pan wyjdzie stamtąd, jeśli zechce być pan tak dobry!

– Pan mówi poważnie? – ponownie zaśmiał się nieznajomy.

– Naturalnie.

– No to wyświadczę panu tę przysługę.

Krzaki rozstały się i wyszedł z nich mężczyzna, który był całkowicie odziany w grubą skórę bizona. Jego twarz nosiła ślady indiańskiego pochodzenia, ale jego ubiór miał fason, który uwielbiają *ciboleros* (łowcy bizonów). Był uzbrojony w ciężki karabin i straszny nóż. Ten osobnik wyglądał tak, jakby nigdy w życiu się nie bał. Gdy tylko wyszedł z krzaków, jego koń sam poszedł za nim.

Przeszył grupę trzech mężczyzn świdrującym wzrokiem i rzekł:

– Hm, nie było źle zrobione, *señores*! Można by prawie sądzić, że byliście już na prerii.

<sup>4</sup> *Mydleniec* (*Sapindus*) – rodzaj roślin z rodziny mydleńcowatych, obejmujący 13 gatunków, które występują w strefie klimatu tropikalnego i umiarkowanego ciepłego na obu kontynentach amerykańskich (od północnej Argentyny po południowe Stany Zjednoczone) oraz w Azji Południowo-Wschodniej od Pakistanu po Japonię; mięścisiste rozłupnie tych roślin wykorzystywane są jako środek mydlący i piorący.



Sternau natychmiast go zrozumiał, ale Mariano zapytał:

– Dlaczego?

– Bo zrobiliście tak, jakbyście mnie nie zauważyli, a potem jednak nagle wycelowaliście we mnie wasze strzelby.

– Wydało się nam naturalnie podejrzane, że widzimy tu ukrywającego się człowieka – powiedział Sternau. – Co pan robił w tych krzewach?

– Czekałem.

– Na kogo?

– Nie wiem. Może na was.

Sternau ściągnął brwi i ostrzegł:

– Niech pan nie robi sobie głupich żartów, tylko dokładniej nam wyjaśni!

– To mogę zrobić. Proszę mi najpierw powiedzieć, dokąd jedziecie?

– Do hacjendy del Erina.

– Dobrze, to jesteście tymi, na których czekam.

– Brzmi to dokładnie tak, jakby wiedzieli tam o naszym przybyciu i został pan wysłany na spotkanie z nami.

– Coś w tym stylu! Wczoraj polowałem na bizona w górach i w drodze powrotnej znalazłem podejrzane ślady. Poszedłem za nimi i podsłuchałem całą grupę białych ludzi, którzy leżeli razem i głośno rozmawiali. Potem usłyszałem, że chcieli przechwycić kilku jeźdźców, którzy są w drodze do hacjendy w Meksyku. Oczywiście natychmiast wyruszyłem, by ostrzec tych ludzi. Jeśli poda mi pan prawą rękę, to dobrze, ale jeśli nie poda mi pan prawej ręki, zostanę tutaj, dopóki nie przyjdą właściwi ludzie.

Wtedy Sternau uściskał mu dłoń i rzekł:

– Jest pan dzielnym zuchem, dziękuję panu! Jak się tak rzeczy mają, jesteśmy tymi właściwymi. Ilu mężczyzn tam było?

– Dwunastu.

– Hm, to jest ich dokładnie tyłu, ilu sam biorę na siebie. Niemal mam ochotę zamienić z nimi słówko.

Łowca bizonów spojrzał na Sternaua i zapytał:

– Bierze pan dwunastu na siebie, *señor*?

– Tak, czasami jeszcze więcej – odpowiedział Sternau poważnie.



*Krzaki rozstąpiły się i wyszedł z nich mężczyzna, który był całkowicie odziany w grubą skórę bizona.*



– To chyba o jedenastu za dużo, co?  
– Dokładnie jak pan sądzi. Gdyby to ode mnie zależało, obejrzałbym sobie tych ludzi, ale raczej nie jest wskazane, by niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwo.

– Ja też tak myślę – przytaknął ironicznie nieznajomy.

– Dokąd pan teraz jedzie? – zapytał Sternau.

– Do hacjendy. Mam was poprowadzić?

– Jeśli sprawi to panu przyjemność, tak.

– To jedźmy.

Wsiadł na swojego konia i ustawił się z nim na czele małego oddziału. Wisiał na koniu głową naprzód na sposób indiański, tak że od razu mógł zauważyć każdy ślad, a Sternau z całego jego zachowania wywnioskował, że jest człowiekiem, na którym można polegać.

Pod wieczór, kiedy już trzeba było położyć się spać, mężczyzna okazał się być tak doświadczony i biegły w znalezieniu odpowiedniego miejsca i przedsięwzięciu środków ostrożności, że Sternau zdał sobie sprawę, iż nie ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem. Wziął od nich jedzenie, zapalił też papierosa, ale kiedy zaproponowano mu łyk rumu, odmówił.

Ze względu na niepewność sytuacji nie rozpalono ogniska, zatem krótka wieczorna pogawędka odbyła się w ciemności.

– Zna pan tych ludzi z hacjendy, *señor*? – zapytał Sternau przewodnika.

– Oczywiście – odpowiedział.

– Kogo można tam spotkać?

– Po pierwsze, *señora* Arbelleza, hacjendera, potem *señoritę* Emmę, jego córkę, następnie *señorę* Hermoyes i wreszcie myśliwego, który jest chory na głowę. Jeszcze znajduje się tam czeladź oraz czterdziestu *vaqueros* i *ciboleros*.

– Pan chyba zalicza się do *ciboleros*?

– Nie, *señor*. Jestem wolnym Mistekiem.

Sternau nastawił uszu.

– Jest pan Mistekiem?

– Tak.

– O, to musi pan znać też wielkiego wodza Mokashi-motaka, Bizonie Czolo?

– Znam go – odparł spokojnie zapytany.

– Gdzie on się teraz znajduje?

– Trochę tu, trochę tam, gdzie go Wielki Duch pokieruje. Gdzie pan o nim słyszał?

– Jego imię jest wszędzie znane. Słyszałem, jak wymienia się jego imię nawet tam, za wielką wodą.

– Gdy się dowie, to się ucieszy. Jak mam panów nazywać, *señores*, gdy się do panów zwracam?

– Nazywam się Sternau, ten *señor* to Mariano, a kolejny Helmers. Jak mamy nazywać pana, *señor*?

– Jestem Misteka. Proszę mnie tak nazywać.

To była cała wieczorna pogawędka; potem udano się na spoczynek, podczas którego pomiędzy czterech podzielona została nocna warta. Następnego ranka wyruszyli wcześniej i tuż przed obiadem zobaczyli przed sobą hacjendę. Wtedy Misteka zatrzymał się i wskazał ręką na posiadłość.

– To jest hacjenda del Erina, *señores* – powiedział. – Dalej nie trzeba was prowadzić.

– Nie chce pan jechać z nami? – zapytał Sternau.

– Nie. Moją drogą jest las. Bądźcie zdrowi!

Szturchnął swojego konia piętami i odskoczył na lewo. Trzej pozostali podjechali do obmurowania i zatrzymali się przed wrotami.

Gdy Sternau zapukał, z wnętrza wyłonił się *vaquero* i zapytał o powód wizyty.

– Czy *señor* Arbellez jest w domu?

– Tak.

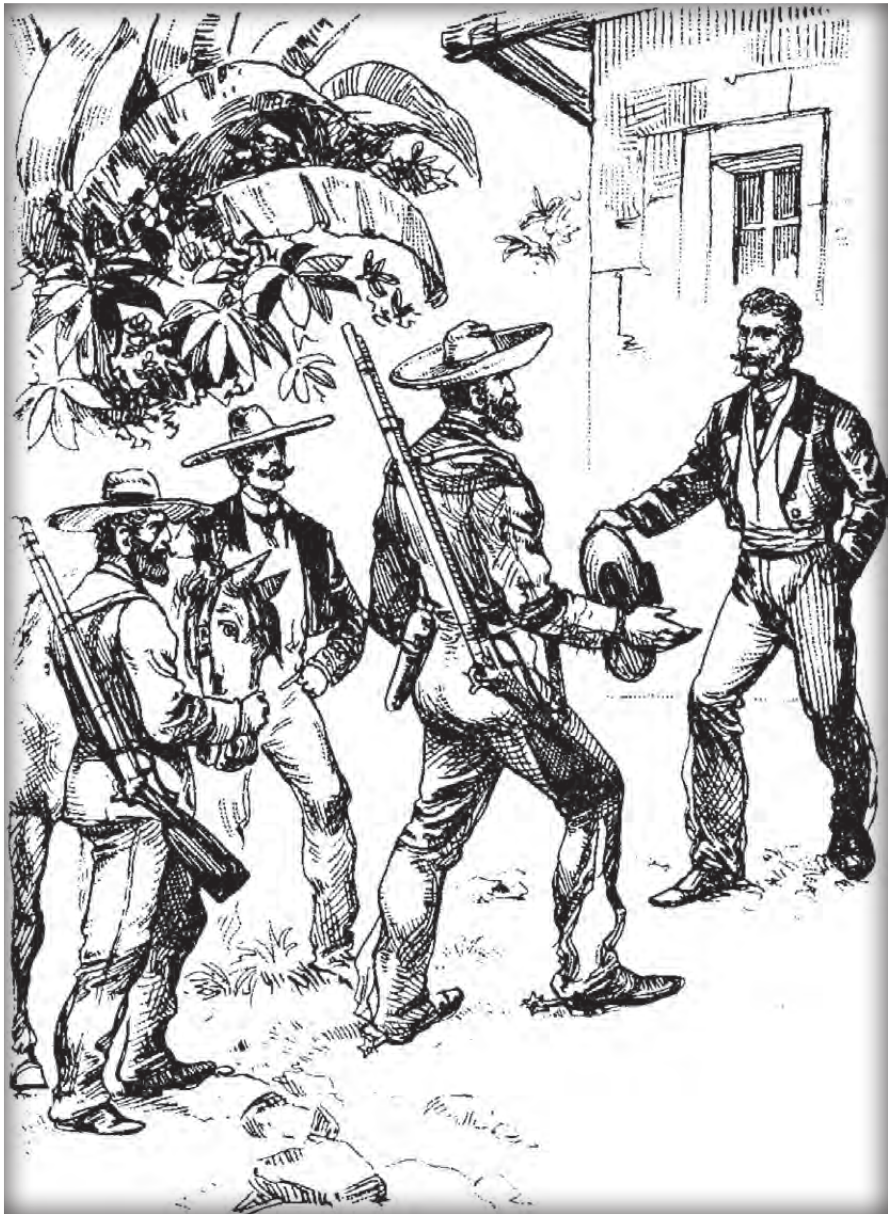
– Powiedz mu, że chcą z nim mówić goście z Meksyku.

– Jesteście panowie sami, czy przyjechało was więcej?

– Jesteśmy sami.

– Zatem mogę panom zaufać i otworzyć.

Przesunął potężny rygiel i wpuścił jeźdźców na podwórze. Tutaj zeskokczyli z koni, które wziął *vaquero*, by je napić. Gdy doszli do wejścia domu, wyszedł już im naprzeciw hacjendero. Jego spojrzenie spoczęło ze zdziwionym przerażeniem na wysokiej postaci Sternausa.



*Jego spojrzenie spoczęło ze zdziwionym przerażeniem na wysokiej postaci Sternaua.*

– *Dios mios*<sup>5</sup>, co to jest! – rzekł zadziwiony. – Czy jest pan Hiszpanem, *señor*?

– Nie, Niemcem.

– Zatem to gra natury. Prawie wziąłem pana za księcia Olsunę.

Po raz kolejny Sternau usłyszał to nazwisko.

– Czy zna go pan, *señor*? – zapytał.

– Tak. Jestem przecież Hiszpanem. Ale to jest jednak prawda. Nie może pan być przecież księciem Olsuną, który jest o wiele starszy od pana. Witamy!

Podał mu rękę i wyciągnął ją również do Mariana. Ten miał odwróconą twarz, ponieważ patrzył na konie. Teraz odwrócił się i hacjender pobladł na twarzy, cofnął rękę i głośno krzyknął z zaskoczenia.

– *Caramba*, co to jest! Hrabia Emanuel! Jednak nie, też nie może być, bo hrabia jest o wiele starszy.

Złapał się za głowę. Oba podobieństwa zaniepokoiły go. Teraz swoje spojrzenie skierował na Helmersa i natychmiast załamał ręce.

– *Valgame Dios*<sup>6</sup>, niech Bóg będzie przy mnie, bo jestem zaczarowany! – zawołał.

– Co jest, ojczec? – rozległ się za nim jasny, słodki dziewczęcy głos.

– Chodź tu, Emmo, moje dziecko – odpowiedział. – Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przydarzyło, to jest tak cudowne! Oto przyjechali trzej *señores*. Jeden wygląda jak księżę Olsunna, drugi jak hrabia Emanuel, a trzeci jest tak podobny do twojego biednego narzeczonego, jak jedno jajko do drugiego.

Emma podeszła i uśmiechnęła się. Ale gdy zobaczyła Helmersa, zawołała:

– To prawda, ojczec, ten *señor* wygląda dokładnie tak jak mój biedny Antonio.

– To się jakoś wyjaśni – powiedział hacjendero. – Witamy, *señores* i wejdźcie do mojego domu!

Wyciągnął teraz rękę do Mariana i Helmersa, i poprowadził gości do jadalni, gdzie najpierw otrzymali poczęstunek. Helmers już podnosił

<sup>5</sup> *Dios mios* (hiszp.) – Boże mój.

<sup>6</sup> *Valgame Dios* (hiszp.) – Dobry Boże.

rękę ze szklanką, by się napić, kiedy znowu ją odstawił. Jego spojrzenie zawisło na drzwiach, które otworzyły się, by wpuścić wychudzoną, bladą postać spoglądającą na przybyszów błędnym, nic niemówiącym wzrokiem. Helmers przeszedł kilka kroków ku drzwiom i wpatrywał się w chorego.

– Czy to możliwe! – naraz zawołał. – Anton, Anton! Och, mój Boże!

Obląkany spojrzał na niego i potrząsnął głową.

– Nie żyję, zostałem zabity – zaskomlał.

Helmers opuścił ręce i zapytał:

– *Señor Arbellez*, kim jest ten człowiek?

– Jest narzeczonym mojej córki – odpowiedział hacjendero. – Nazywa się Antonio Helmers, a myśliwcy nazywają go Piorunującą Strzałą.

– Więc jednak! Bracie, och, mój bracie!

Z tymi słowami rzucił się na obląkanego, objął go ramionami i przytulił do siebie. Chory pozwolił się głaskać, patrzył obojętnie na twarz brata i tylko powiedział:

– Zostałem zabity, nie żyję!

– Co z nim? Czego mu brakuje? – zapytał Helmers.

– Jest obląkany – odpowiedział gospodarz.

– Obląkany? Och, Panie, mój Boże, co za spotkanie!

Niemiec zaslonił dłonią oczy, opadł na krzesło i zapłakał. Wszyscy inni stali, nic nie mówiąc, mocno przejęci, aż w końcu Arbellez położył mu dłoń na ramieniu i powiedział cichym głosem:

– Czy to prawda, że jest pan bratem *señora* Antonia?

Helmers skierował zalzawione oczy na pytającego i odpowiedział:

– Jestem jego bratem! O mój Boże, co za spotkanie!

– Więc jest pan sternikiem?

– Tak.

– Dużo nam o panu opowiadał.

– Nie żyję, zostałem zabity – skarżył się tymczasem obląkany.

Sternau do tej pory nie spuszczał oka z niego, a teraz zapytał:

– Jaki jest powód jego choroby?

– Uderzenie w głowę – odpowiedział Arbellez.

– Czy mieliście lekarza?



– Tak, przez długi czas.

– Czy powiedział, że jakakolwiek pomoc nie jest możliwa?

– Tak.

– Więc ten lekarz jest konowalem, nierozumnym ignorantem. Niech się pan weźmie w garść, Helmers. Brat nie jest umyślowo chory, tylko psychicznie zaburzony. Pomoc jest jeszcze możliwa.

Wtedy rozbrzmiał gromki okrzyk radości. Wydała go Emma Arbellez. Podbiegła do Sternaua, chwyciła jego obie dłonie i zapętała:

– Mówi pan prawdę, *señor*?

– Tak.

– Na pewno? Jest pan lekarzem?

– Jestem lekarzem i mam nadzieję na najlepsze. Jak tylko poznam bliżej okoliczności w jakich zachorował, będę mógł powiedzieć pani z całą pewnością, czy mogę udzielić pomocy.

– Och, to proszę pozwolić mi szybko opowiedzieć...

– Powoli, *señorita!* – przerwał jej Sternau. – Wolę to jednak zachować na spokojniejszą chwilę. Najpierw mamy jeszcze inne rzeczy do omówienia, które są równie ważne i konieczne.

Niechętnie na to pozwoliła i wyprowadziła obląkanego z pokoju.

– To muszą być bardzo ważne sprawy, które pana tutaj przywiodły – powiedział hacjendero z pewnym przeczuciem.

– Bardzo, bardzo ważne – potwierdził Sternau.

– Czy moja hacjenda była pańskim jedynym celem?

– Tak.

– I znalazł pan ją bez przewodnika?

– Niezupełnie. Dopiero wczoraj spotkaliśmy pewnego człowieka, który aż tu nam towarzyszył. Był Indianinem z plemienia Misteków.

– Misteka? To był Bizonie Czoło.

– Bizonie Czoło? – zapytał Sternau, zaskoczony. – Nie nosił przecież oznak wodza!

– Nigdy tego nie robi. Ubiera się w bizonie skóry i jako broń nosi strzelbę i nóż.

– Więc to był on. Jechałem z Bizonim Czołem, nic o tym nie wiedząc. Przemilczał to przed nami. Jest szlachetnym, uczciwym człowiekiem. Czy jeszcze go zobaczymy?

– Codziennie jest w okolicy. Czy przez jakiś czas pozostaną panowie moimi gośćmi?

– Zdecydują okoliczności. Kiedy będzie miał pan czas, żeby posłuchać, co nas tu sprowadza?

– Natychmiast, ale też później, jak sobie panowie życzą. Czy to jest krótka sprawa i trzeba ją załatwić natychmiast?

– Nie. Potrzebuje pan więcej czasu i w ogóle musi być traktowana bardzo ostrożnie. To rodzinna tajemnica i, aby to wyjaśnić, potrzebujemy pomocy pańskiej i pani Marii Hermoyes.

– Jestem do dyspozycji, ale proszę najpierw o pozwolenie wskazania panom ich pokoi. Przede wszystkim należy zająć się wami, temat może poczekać na później.

Weszła Indianka Karja. Sprawdziła pokoje, a teraz przyszła, by zaprowadzić do nich dżentelmenów. Sternau otrzymał ten, w którym kiedyś zwykle mieszkał hrabia Alfonso. Oczyszczył się z brudu podróży, a następnie zszedł na chwilę do ogrodu. Tam zobaczył siedzącą piękną córkę hacjendera, a obok niej obłąkanego, który z największą obojętnością pozwalał jej na okazywanie mu czułości. Dziewczyna wstała, by zrobić miejsce dla gościa.

Sternau usiadł tak, aby móc obserwować chorego i rozpoczął rozmowę z *señorita*, w toku której opowiedziała mu przebieg zdarzeń w grocie z królewskim skarbem, a zatem o powodzie choroby jej narzeczonego. Słuchał uważnie, ponieważ opowiadanie poruszyło go bardziej, niż tylko związane z nim kwestie medyczne.

– Zatem sławny Niedźwiedzie Serce też był przy tym – powiedział wtedy. – Czy od tamtej pory ten sławny wódz Apaczów był ponownie widziany?

– Nie.

– I całe to nieszczęście tylko przez jednego człowieka, przez tego Alfonza de Rodriganda! Trzeba zatrzymać jego dzieło i kazać mu odpokutować za wszystkie winy.

– Och, *señor*, czy możliwe będzie tu również zadośćuczynienie lub pomoc dla mojego biednego Antonia? Jego brat już powiedział mi, kiedy był pan w swoim pokoju, że jest pan wspaniałym i sławnym lekarzem, i że nawet uratował pan od obłądu własną żonę.

– Największym lekarzem jest Bóg. Mam nadzieję, że On także tu pomoże. Czy nasz pacjent jest cierpliwy i posłuszny?

– Bardzo.

– Czy pójdzie ze mną?

– Od razu.

– To zabieram go ze sobą, aby go natychmiast zbadać. Wożę ze sobą moje narzędzia i mam nadzieję, że mam wszystko, co jest mi potrzebne.

Chwycił dłoń pacjenta, a ten podążył za nim z największą chęcią. Emma poszła do swojego pokoju i opadła tam na kolana, by się modlić. Gdy potem weszła do salonu, zebrali się już tam wszyscy pełni oczekiwaniami, by usłyszeć werdykt lekarza. Ten jednak przyszedł później. Został natychmiast zasypany pytaniami.

– Wszystkim wam przynoszę dobrą wiadomość – powiedział, uśmiechając się. – Wyleczę *señora* Helmersa.

W pokoju rozbrzmiały gromkie wielogłosowe okrzyki radości, po czym Sternau kontynuował:

– Uderzenie było niezwykle silne, ale czaszka nie została zgruchotana. Jednak pod nią jakieś naczynie krwionośne wylewa swoją zawartość na część mózgu odpowiadającą za pamięć i dzieje się tak, ponieważ pacjent wszystko zapomniał, tylko nie to ostatecznie, co czuł za życia, czyli uderzenie. Wie, że miał być zabity, poczuł cios i sądził, że jest martwy. Najpewniejsza pomoc jest możliwa tylko przez trepanację. Otworzę czaszkę, żeby odprowadzić napływającą krew, przez co jej ucisk na masę mózgu ustanie, organ zacznie swoje przerwane działanie i w tej samej chwili powróci również całkowicie pamięć.

– Czy ta operacja jest niebezpieczna dla życia? – zapytała Emma z troską.

– Bolesna, ale nie niebezpieczna dla życia – pocieszał. – Gdy tylko członkowie rodziny udzielą mi swojego pełnomocnictwa, jutro przeprowadzę trepanację.

Wszyscy wyrazili zgodę, a Arbellez dodał z uśmiechem:

– I niech się pan nie boi o honorarium, *señor*. Pacjent jest bogaty, szalenie bogaty. Z jaskini z królewskim skarbem otrzymał prezent, który pozostaje w jego posiadaniu, więc będzie w stanie zapłacić za trepanację.

– Miejmy nadzieję, że operacja uzdrowi go tak bardzo, by mógł cieszyć się swoim skarbem – powiedział Sternau, a potem odszedł, aby obejrzeć swoje narzędzia, które przecież rano musiały znajdować się w stanie zdającym do użytku.

Wieczorem po kolacji miało miejsce spotkanie, na którym omawiano właściwy cel podróży. Co wtedy opowiedzieli Arbellez i stara Maria Hermoyes, potwierdziło przekonanie, jakie Sternau do tej pory żywił.

Pocziwy hacjendero zaoferował Marianowi swoją hacjendę, a w całym domostwie nie było nikogo, kto nie byłby przekonany, że jest on prawowitym, rzeczywistym hrabią Alfonzem.

Oto nadszedł ten dzień, w którym miała się odbyć operacja. Sternau poprosił Helmersa, Mariana i Arbelleza, aby mu asystowali, ale poza tym zabronił jakichkolwiek zakłóceń. Około południa czterej mężczyźni udali się do pokoju pacjenta. Korytarz, w którym znajdował się pokój, był dla każdego zamknięty. Wszyscy mieszkańcy domu trzymali się razem, a każda myśl i każde wypowiedziane słowo było modlitwą o sukces ogromnego przedsięwzięcia.

Czasami było tak, jakby w domu rozbrzmiewało bolesne skomlenie albo głośne, przenikliwe krzyki, ale potem ponownie wszystko ucichło. Wreszcie po długim, długim czasie nadszedł Arbellez. Był blady i wyczerpany.

– Jak jest? – zapytała Emma, która wyszła mu naprzeciw.

– *Señor* Sternau ma nadzieję. Pacjent leży nieprzytomny. Powinnaś pójść i pozostać przy nim.

– Ja sama?

– Nie, ja z tobą. Gdy się obudzi, powinien zobaczyć tylko znajome twarze.

Poszła za ojcem. Na górze w korytarzu spotkali Helmersa. Również on był blady jak śmierć. Zdawał sobie sprawę, że chory musiał dużo przejść.

Gdy oboje weszli po cichu, Sternau stał pochylony nad chorym, by zmierzyć mu puls i oddech. Gdy Emma spojrzała na strasznie zmęczone i zniekształcone rysy swojego ukochanego, mogłaby wręcz głośno krzyknąć, ale jednak opanowała się.

– *Señora*, proszę usiąść tak, by panią od razu zobaczył, gdy się obudzi. Cofnę się za zasłonę – szepnął Sternau.

– Czy długo to potrwa, zanim odzyska przytomność? – zapytała.

– Najwyżej dziesięć minut, a potem okaże się, czy pamięć ponownie wróciła. Czekajmy i módlmy się!

Poszedł za zasłonę, a Emma usiadła obok łóżka, podczas gdy Arbellez zajął miejsce w jej pobliżu. Tak ciągnęło się dziesięć minut jak wieczność, aż wreszcie pacjent poruszył ręką.

– Proszę się nie wystraszyć – powiedział bardzo cicho Sternau. – Według moich wyliczeń wyda śmiertelny krzyk, ponieważ uważa, że został zabity.

Mądry lekarz nie pomylił się. Chory poruszył jeszcze raz całym ciałem, potem leżał nieruchomo kilka sekund i to były chwile, w których jego zdolności rozumowania powróciły do życia, a on wydał teraz okrzyk, tak przerażający, tak straszny, że nawet Arbellez zadrżał, a Emma musiała się przytrzymać łóżka, by nie upaść. Po tym krzyku nastąpiło głębokie, bardzo głębokie westchnienie a potem... potem chory otworzył oczy.

W tych oczach przez miesiąc nie było śladu świadomości, ale teraz było tak, jakby chory obudził się ze snu. Następnie spojrzal przed siebie, potem na prawo, na lewo i zdumiał się. Jego spojrzenie wyostriżyło się i padło na Emmę. Wtedy otworzył też usta.

– Emma! – powiedział cicho. – Och, Boże, śniłem, że ten Alfonso chciał mnie zabić. To było w jaskini z królewskim skarbem. Czy to prawda, że jestem przy tobie?

Wyciągnął ku niej rękę, a ona wzięła ją w swoją i powiedziała:

– Jesteś przy mnie, Antonio!

Wtedy sięgnął dłonią do obandażowanej głowy.

– Ależ tak, boli mnie głowa w miejscu, gdzie otrzymałem cios – powiedział. – Emmo, dlaczego jestem obandażowany?

– Zostałeś trochę zraniony – odparła.

– Tak, czuję to – rzekł. – Opowiesz mi o tym, ale teraz chcę spać, bo jestem bardzo zmęczony.



– Emma! – powiedział cicho. – Och, Boże, śniłem, że ten Alfonzo chciał mnie zabić.  
To było w jaskini z królewskim skarbem.

Zamknął oczy i wkrótce spokojne wznoszenie się klatki piersiowej pokazało, że zapadł w sen. Teraz Sternau ponownie wyszedł i promieniując radością, z triumfalną miną szepnął:

– Zwycięstwo! Udało się! Gdy minie gorączka pooperacyjna, to będzie całkiem wyleczony. Proszę iść, *señor* Arbellez i zanieść tę radosną wiadomość tym, którzy na nią czekają. Ja będę tu czuwał z *señorita*.

Pocziwy hacjendero pospiesznie oddalił się i swoją wiadomością sprawił wszystkim mieszkańcom domu radość i wzruszenie.

Dzień i następna noc minęły bardzo pomyślnie, ale rano przyniósł niepokój, który jednak w ogóle nie dotyczył chorego. Mianowicie pojawił się Bizonie Czoło, wódz Misteków i zapytał o hacjendera. Gdy ten przyszedł, opowiedział mu, że planowany jest atak na hacjendę. Arbellez wystraszył się.

– To muszę przyprowadzić zaraz *señora* Sternaua – powiedział.

– *Señora* Sternaua? Wielkiego obcego, którego przyprowadziłem do pana? – zapytał Indianin.

– Tak.

– Czemu akurat jego?

– Żeby dał nam dobrą radę.

Indianin okazał gestem lekceważenie, a następnie zapytał:

– Kim jest ten człowiek?

– Lekarzem.

– Lekarzem błądych twarzy! Jak może dawać dobre rady Bizonie-mu Czołu, wodzowi Misteków!

– Nie ma ich dawać tobie, tylko mnie. Powinniście wymienić ze sobą rady, co zrobić.

– Czy jest wodzem rady w wojnie przeciwko wrogom?

– Jest mądrym człowiekiem. Wczoraj rozciął głowę Piorunującej Strzale i przywrócił mu rozum i pamięć.

Indianin zdziwił się.

– Mój przyjaciel Piorunująca Strzala znowu mówi jak rozsądny człowiek? – zapytał.

– Tak. Za kilka dni będzie zdrowy.

– Zatem ten *señor* Sternau jest wielkim lekarzem, mądrym szamanem, ale nie jest wojownikiem.

- Dlaczego?
  - Czy widziałeś jego broń?
  - Tak.
  - Widziałeś go jadącego konno?
  - Tak. Widziałem go nadchodzącego z daleka.
  - Otóż widzę, że siedzi na koniu jak blada twarz, a jego broń lśni jak srebro, Tak nie jest w przypadku wielkiego wojownika.
  - Zatem nie chcesz się z nim naradzić?
  - Jestem przyjacielem hacjendy, zrobię to, ale nie przyniesie to niczego pożytecznego. Można go zawiadomić, by przyszedł.
- Arbellez poszedł i wkrótce wrócił ze Sternauem. Po drodze opowiedział mu, co powiedział słynny wódz. Sternau przywitał się z nim z lekkim uśmiechem i powiedział:
- Słyszałem, że jest pan Bizonie Czolo, wielki wódz Misteków. Czy to prawda?
  - Jestem nim – brzmiała odpowiedź.
  - Jaką wiadomość nam przynosisz?
  - Widziałem, zanim przyprowadziłem was do hacjendy, dwanaście białych twarzy, którzy chcieli was napaść i zabić. Ale teraz widziałem trzy razy tyle białych, którzy chcą zniszczyć hacjendę, a wszystkich żywych wymordować.
  - Podstuchał ich pan?
  - Tak.
  - Kiedy chcą nadejść?
  - Jutro w nocy.
  - Gdzie się znajdują?
  - W Wąwozie Tygrysa<sup>7</sup>.
  - Czy to daleko stąd?
  - Według miary białych twarzy trzeba jechać godzinę lub iść ponad dwie godziny.

<sup>7</sup> Tygrys – w Ameryce Południowej lokalna nazwa jaguara amerykańskiego (*Panthera onca*) z podrodziny panter (*Pantherinae*), z rodziny kotowatych (*Felidae*), zaliczanego do wielkich kotów; jest to trzeci co do wielkości przedstawiciel swojej rodziny po tygrysie i lwie, największy na półkuli zachodniej; występuje od południowego zachodu Stanów Zjednoczonych i Meksyku przez Amerykę Środkową na południe do Paragwaju i północnej Argentyny.



– Co teraz robią?

– Jedzą, piją i śpią.

– Czy w wąwozie jest las?

– W wąwozie jest wielki, gęsty las, w którym jest źródło, a oni leżą nad wodą.

– Wystawili strażę?

– Widziałem dwóch strażników, jeden przy wejściu, a drugi przy wyjściu z wąwozu. Siedzieli pod drzewem i patrzyli w niebo.

– Jak blade twarze są uzbrojone?

– Mają strzelby, noże i pistolety.

– Czy zechce mnie pan tam zaprowadzić?

Po tym pytaniu wódz spojrzął na lekarza z pewnym zaskoczeniem.

– Czego pan tam chce? – zapytał.

– Chcę przyjrzeć się bladym twarzom.

– Po co? Już ich widziałem. Kto chce ich zobaczyć, musi przeczłochać się przez las i po mchu, a tam pobrudzi pan swoje piękne, meksykańskie ubranie – powiedział to z prawie obraźliwym uśmiechem, a potem dodał: – A kto do nich podejdzie, zastrzeli go.

– Boi się pan mi towarzyszyć? – zapytał Sternau.

Wtedy Misteka spojrzął mu pogardliwie w twarz i powiedział:

– Bizonie Czolo nie zna żadnego strachu. Poprowadzi cię, ale nie pomoże, gdy napadnie na ciebie trzy razy po dwanaście bladych twarzy.

– Więc poczekaj!

Z tymi słowami Sternau oddalił się, by przygotować się do drogi.

– Ten lekarz chce zginąć! – rzekł Indianin z wielką pewnością siebie.

– To będzie pan go chronił! – rzekł bardzo poważnie Arbellez.

– Powiedział, że nie boi się dwunastu wrogów. Ma wielkie usta i małe ręce, mówi dużo i nic nie robi.

Z tymi słowami podszedł do okna i wyjrzał przez nie, jakby go nic więcej nie obchodziło.

Sternau wziął ze sobą swoje myśliwskie ubranie. Wcześniej zapakował je na jacht i zabrał do Meksyku, gdzie przywiązał z tyłu konia. Teraz ubrał się w nie i wtedy wrócił.

– Teraz możemy jechać – rzekł.

Misteka odwrócił się. Jego wzrok padł na człowieka, który stał przed nim, a na jego twarzy pojawiło się natychmiast żywe zaskoczenie.

Sternau miał na sobie parę legginsów ze skóry losia, porządną myśliwską kurtkę, kapelusz z szerokim rondem i buty z wysokimi cholewkami. Na jego ramieniu wisiał sztucer Henry'ego, z którego można było wystrzelić bez ładowania dwadzieścia pięć razy i dwulufowa strzelba na niedźwiedzie. Za jego pasem tkwiły dwa rewolwery, nóż Bowie'go i błyszczący tomahawk. Tę broń, poza tomahawkiem, Indianin już widział. Wygląd Sternaua był teraz tak na wskroś wojowniczy i władczy, że to wystarczyło, by wzbudzić niepokój.

Indianin przeszedł obok niego i rzucił tylko jedno słowo:

– Chodź!

Ponieważ miał ostrogi na butach, Sternau zapytał:

– Jest pan konno?

– Tak – odpowiedział Bizonie Czolo, zatrzymując się jeszcze na chwilę.

– Chce pan jechać konno do Wąwozu Tygrysa?

– Tak.

– Niech pan zostawi swojego konia, pójdziemy pieszo.

– Dlaczego?

– Pieszy może się lepiej ukryć niż jeździec, a koń bardzo łatwo zdradza tego, do którego należy. Nie chcę też pozostawiać śladów kopyt.

Spojrzenie Misteka rozbłysło. Zrozumiał, że Sternau miał rację. Poprowadził konia do polany, a następnie wyszedł z Niemcem na otwartą przestrzeń. Kroczył wolnymi, dużymi krokami, nie oglądając się za siebie. Tylko raz, gdy ziemia była piaszczysta, zatrzymał się, by spojrzeć wstecz na ślad, który pozostawiali. Był to ślad tylko jednego człowieka, ponieważ Sternau szedł śladem swojego przewodnika.

– Ugh! – mruknął Indianin, kiwając w milczeniu głową.

Początkowo droga wiodła przez piaszczyste pastwiska, potem przez mały lasek porastający wzgórze i wreszcie przez głęboki las, którego drzewa były tak potężne, że człowiek mógłby się za nimi całkiem dobrze schować. Szli prawie dwie godziny i Sternau zauważył, że Indianin stał się ostrożniejszy. Wywnioskował z tego, że Wąwóz Tygrysa jest już blisko. Ponadto Misteka zatrzymał się i cicho powiedział:

– Są niedaleko od nas. Nie rób hałasu!

Sternau nie zareagował na to upomnienie żadnym słowem, żadną miną i w milczeniu podążał za swoim przewodnikiem. Wreszcie ten położył się płasko na ziemi i dał Niemcowi do zrozumienia, żeby zrobił to samo. Teraz czolągali się naprzód cicho, zupełnie cicho, aż do ich uszu doleciały donośne głosy.

Po niedługim czasie dotarli do krawędzi głębokiego wąwozu, którego ściany opadały stromo, tak stromo, że nie można było się na nie wspiąć. Ten wąwóz miał może osiemset kroków długości i trzysta szerokości. Na jego dnie wiał się strumień, a na jego brzegu, rozciągniętych w trawie, leżało około trzydziestu dobrze uzbrojonych osobników. Zarówno przy wejściu, jak i wyjściu z wąwozu siedział strażnik.

Sternau w sekundę objął całość wzrokiem, po czym szepnął:

– Widział pan trzy razy po dwunastu wojowników?

– Tak.

– Teraz jest ledwie dwa razy po piętnaście. Inni odeszli.

– Poszli na zwiady.

– Albo na rabunek.

Zaczęli nasłuchiwać. W obozie rozmawiano tak głośno, że można było wyraźnie usłyszeć każde słowo. Ci ludzie musieli czuć się bardzo bezpiecznie.

– A ile powinniśmy dostać, jeśli ich złapiemy? – zapytał jeden z nich. – Dziesięć pesos za człowieka? To by wystarczyło. Dwóch Niemców i Hiszpan nie są tyle warci.

Z tych słów Sternau zrozumiał, że mówi o nim i jego dwóch towarzyszach.

– Niech ich diabli, pojechali inną drogą! – stwierdził drugi.

– Dlaczego przeklinasz? – zapytał jego sąsiad. – Mówię ci, dobrze, że nam uciekli, bo teraz jako łup dostaniemy całą hacjendę, ale tylko pod warunkiem, że wszystkich wystrzelamy, a szczególnie jednego Niemca i Hiszpana.

– Jakie dwa nazwiska wymienił ten *señor*?

– Niemiec nazywa się Sternau, a Hiszpan Lautreville.



*Po niedługim czasie dotarli do krawędzi głębokiego wąwozu, którego ściany opadały stromo, tak stromo, że nie można było się na nie wspiąć.*



– Czy jesteśmy wystarczająco silni, by zdobyć hacjendę? Mówi się, że ten Arbellez ma pięćdziesięciu *vaqueros*.

– Głupcze, przecież ich zaskoczymy!

Teraz Sternau wiedział już wystarczająco dużo. Nie był człowiekiem, który bez potrzeby przelewa ludzką krew, ale tu chodziło o zlikwidowanie bandy rabusiów i morderców. Chwycił sztucer Henry'ego i zdjął go powoli i ostrożnie z ramienia.

– Co chce pan zrobić? – szepnął zaniepokojony Indianin.

– Zabić tych ludzi.

Wódz szeroko otworzył usta.

– Tak wielu? – zapytał.

– Tak.

Po twarzy Indianina było widać, że ma swojego towarzysza za kompletnego wariata. Chciał się wycofać, ale Sternau polecił:

– Zostań! Chyba, że się boisz! Jestem Matava-se, Księżę Skał. Wszyscy ci mordercy wpadli w nasze ręce.

Usłyszawszy ten przydomek, zszokowany Indianin prawie podskoczył, aby wykonać gest najgłębszego szacunku.

– Ostrzeliwujesz wyjście z twojej strzelby. Nikt nie może uciec.

Przy tych słowach Sternau położył dwururkę po prawej stronie przed sobą, ponownie chwycił sztucer, przyłożył do ramienia i skierował lufę w dół. Jednak w tej chwili zmienił zdanie.

– Zobaczysz, jak Księżę Skał zwycięża swoich wrogów.

Z tymi słowami podniósł się tak, że z dołu mógł być całkowicie widoczny. Wydał głośny okrzyk, jak to robią myśliwcy z prerii, gdy zgubią się w lesie i natychmiast oczy wszystkich zwróciły się na niego.

– Tu stoi Sternau, którego chcieliście pojmać! – zawołał.

Jego głos odbiło echo i równocześnie po raz pierwszy huknął jego sztucer. Bandyci zerwali się i sięgnęli po swoje strzelby, które leżały porozrzucone dookoła w wąwozie. Ale jak tylko jakiś schylił się po broń, trafiała go kula ze straszliwego sztucera Niemca, a jak tylko któryś podejmował próbę ucieczki przez wejście, powalała go kolejna kula.

Strzały padały tak szybko jeden za drugim, jakby dziesięciu strzelców strzelało z dwururek. Również Indianin powalił dwóch ze swojej

strzelby, a gdy Ster nau wreszcie odrzucił sztucer i sięgnął po strzelbę, pozostało tylko dwóch. Jednego powalił, ale ostatniego chciał oszczędzić.

– Kładź się na ziemi i nie ruszaj się! – krzyknął do niego.

Mężczyzna natychmiast posłuchał.

– Zejdź do niego, podczas gdy ja będę go pilnował z góry – polecił wodzowi Misteków.

Indianin popędził długimi skokami po zboczu wąwozu, aż dotarł do dna przy wejściu, a następnie do bandyty, który wciąż leżał nieruchomo na ziemi. Teraz już nie mógł uciec, więc Ster nau dołączył do wodza.

– Wstawaj! – polecił mu, gdy zszedł na dół.

Mężczyzna podniósł się. Drżał na całym ciele. Jeszcze nigdy nie przytrafiła mu się taka masakra.

– Ilu was było? – zapytał go Ster nau.

– Trzydziestu sześciu.

– Gdzie są brakujący?

Mężczyzna wahał się z odpowiedzią.

– Mów, albo będzie cię to kosztować życie!

– Są w hacjendzie Vandaqua.

– Co tam robią?

– Szukają *señora*.

– Kim jest ten *señor*?

– Ten, który kazał nam napaść na hacjendę del Erina.

– Nie wyjawil wam swego nazwiska?

– Nie.

– Ach, mimo wszystko go znam. Macie z sobą konie?

– Tak.

– Gdzie są?

– Pasą się niedaleko stąd, na polanie.

– Jak daleko jest stąd do hacjendy Vandaqua?

– Trzy godziny jazdy.

– Kiedy wasi ludzie odjechali?

– Przed godziną.

– Kiedy zamierzają wrócić?

– Tuż przed wieczorem.

– Dobrze! Prowadź nas na pastwisko, na którym znajdują się konie!

Przed wszystkim Sternau ponownie naładował broń, a potem zaczął prowadzić się na pastwisko. Tutaj zostały wybrane trzy najlepsze wierzchowce i przyprowadzone do wąwozu. Cała istniejąca broń została związana w koce i załadowana na konia. Następnie związane także jeńca. Obaj zwycięzcy wsiedli i odjechali stępem przez las, klusem przez góry i galopem przez równinę.

Jakże zdziwili się mieszkańcy hacjendy, gdy przybyła tam mała grupa! Sternau musiał opuścić swojego pacjenta, dlatego swoje pierwsze kroki skierował do niego. W tym czasie Misteka opowiedział zdziwionym słuchaczom, co się wydarzyło.

– Ten lekarz jest największym bohaterem preii – powiedział. – To jest Matava-se, Księżę Skał. W dwie minuty zabił prawie dwa razy po piętnaście wrogów, a jednak jego strzelba nie zrobiła się nawet ciepła.

Właśnie kończył relację, gdy ponownie pojawił się Sternau. Zastał swojego pacjenta śpiącego, a Emma została poinformowana, co ma robić. Wszyscy pozostali mieszkańcy hacjendy zebrali się na dziedzińcu. Petro Arbellez podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– *Señor*, jest pan prawdziwym diabłem! – powiedział. – Ale to dobrze, bo uratował mnie pan przed strasznymi wrogami.

Sternau tylko skinął głową, a następnie zapytał:

– Jak daleko stąd leży hacjenda Vandaqua?

– Trzy godziny jazdy konno.

– Jakie ma pan relacje z właścicielem?

– Jest moim wrogiem.

– Tak myślałem. Teraz jest tam Pablo Cortejo, który wynajął przeciwko panu tę bandę morderców. Musimy go dostać. Pan, Mariano i ja pojedziemy z dziesięcioma ludźmi. Bizonie Czoło z dziesięcioma wróci do Wąwozu Tygrysa, by przyprowadzić konie i przywieźć łupy, a pozostali zostaną pod nadzorem mojego przyjaciela Helmersa dla ochrony hacjendy, bo nie wiadomo, co się może wydarzyć. Zgadza się panowie?

Wszyscy wymienieni nie mieli nic przeciwko rołom, jakie im przydzielił Sternau i nie trwało to długo, gdy obie grupy wyjechały z hacjendy, aby osiągnąć swoje cele.





*Na pastwisku zostały wybrane trzy najlepsze wierzchowce  
i przyproawdzone do wężozu.*

Oddział Bizoniego Czoła miał proste zadanie. Ludzie dotarli do wozu, obszukali zmarłych i załadowali wszystkie łupy na konie, które zaprowadzili do domu.

Inaczej było z oddziałem, który miał dotrzeć do hacjendy Vandaqua. Jego ludzie musieli postępować ostrożnie. Gdy przekroczyli granicę, napotkali *cibolero*, który nadchodził z hacjendy. Sternau podjechał do niego i zapytał:

- Idziesz z hacjendy Vandaqua?
- Tak, *señor*.
- Czy właściciel jest w domu?
- Siedzi przy monte<sup>8</sup> i gra srebrnymi pesos.
- Z kim gra?
- Z obcym *señorem*, ze stolicy.
- Jak on się nazywa?
- Znowu zapomniałem nazwisko.
- Cortejo?
- Tak.
- Czy są z nim jeszcze inni obcy?
- Jeszcze sześciu *señores*, którzy dopiero co przyjechali. Leżą z *vaqueros* i też grają, ale nie na srebrne pesos.

Teraz przede wszystkim chodziło o znalezienie właściwego sposobu, by dostać Corteja w swoje ręce. Nie było żadnej mowy o tym, by odważyć się naruszyć mir domowy. Jednak zarówno Sternau, jak i Mariano zgodzili się podjechać bezpośrednio pod dom hacjendera i potem zobaczyć, co można dalej zrobić.

Trzeba było jechać jeszcze ostro przez kwadrans, zanim zobaczono hacjendę, ale już wcześniej zauważono z daleka pewne ciemne punkty, które pędziły przez równinę.

Gdy grupa dotarła do hacjendy, właściciel wyszedł im naprzeciw.

– Ach, *señor* Arbellez – powiedział z dziwnym uśmiechem igrającym na ustach. – Czemu zawdzięczam ten tak rzadki zaszczyt, panie sąsiedzie?

Wtedy Sternau popchnął swego konia do przodu i odpowiedział zamiast Arbelleza:

<sup>8</sup> *Monte* (hiszp.) – gra hazardowa w trzy karty.

– Proszę wybaczyć *señor*! Jestem tu obcy i szukałem *señora* Corteja w hacjendzie del Erina, ale dowiedziałem się, że muszę przyjechać do pana, by go znaleźć. Czy można z nim pomówić?

Wygląd Sternaua zrobił takie wrażenie na hacjenderze, że jego uśmiech zniknął. Podniósł rękę, wskazał na okolicę i odpowiedział:

– Przykro mi, *señor*. Cortejo niedawno wyjechał.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Sternau skinął głową, uśmiechając się do siebie. Było dość jasne, że ten człowiek nie zdradziłby Corteja. Chodziło o to, by sprawdzić, czy wcześniej powiedział prawdę, gdy rzekł, że Cortejo odjechał. Dlatego Sternau zapytał:

– Czy byłoby możliwe krótko odpocząć w hacjendzie?

– Chętnie – odpowiedział mężczyzna. – Proszę bliżej, *señores*!

To zaproszenie było wystarczającym dowodem, że Corteja już nie było.

– Kim byli ci ludzie, którzy pojechali na zachód? – zapytał Sternau.

– *Quien sabe*<sup>9</sup>! – odpowiedział hacjendero.

Z jego chytrej, przebiegłej twarzy było widać, że mógłby odpowiedzieć, gdyby tylko chciał. Sternau więc szybko załatwił sprawę:

– Bądź zdrow! – powiedział, obracając konia. – Wkrótce będziemy wiedzieć, kto to był.

Ruszył galopem, a pozostali podążyli za nim.

Udali się w tym samym kierunku, w którym zauważono grupę jeźdźców. Był to kierunek na Wąwóz Tygrysa. Gdy dojechali do lasu, mogli się tylko powoli przedzierać, bo konie utrudniały im poruszanie się. Musieli również zachować szczególną ostrożność, ponieważ przeciwnicy mogli się schować, aby zastrzelić prześladowców z ukrycia. Jednak szczęśliwie dotarli do wejścia do wąwozu. Tutaj Sternau kazał zatrzymać się grupie, aby zbadać ślady. Odczytał z nich, że już byli tu *vaqueros*, ale znalazł również ślady, które prowadziły z wąwozu do lasu w kierunku zachodnim. Z pewnością był to Cortejo ze swoimi ludźmi, a teraz miało znaczenie, by się dowiedzieć, dokąd się udał.

<sup>9</sup> *Quien sabe* (hiszp.) – kto to wie.

Z tego powodu Sternau ze swoimi ludźmi podążył tymi śladami. Te prowadziły coraz dalej w las, potem kierowały się na południe, a następnie wyszły z lasu na bezdrzewną równinę.

Dla największego bezpieczeństwa podążano śladami jeszcze aż do wieczora i w tym czasie przekonano się, że ścigani zamierzają udać się do miasteczka El Oro. Wtedy, uspokojeni, zatrzymali się.

– Powinniśmy zawrócić – rzekł Sternau. – Ci ludzie są dla nas nieszkodliwi, przynajmniej przez jakiś czas. Otrzymali lekcję, którą zapamiętają.

– Złożę skargę – oświadczył hacjendero Arbellez.

– W czym to panu pomoże?

– W niczym, wiem to. Ten przez naturę tak bogato pobłogosławiony kraj jest jednak najniebezpieczniejszym na ziemi. Jest rozłupywany i rozszarpywany przez partie. Jeden występuje przeciwko drugiemu. Nie można znaleźć w nim sprawiedliwości. Zastosowanie ma prawo albo najgorszych, albo najsilniejszych, a kto chce zadośćuczynienia, ten musi je sobie wziąć sam. Tak, wróćmy. Napad skierowany przeciwko nam został odparty i tak szybko nie będziemy ponownie niepokojeni.

Dojechali do hacjendy del Erina, gdy panowała już głęboka ciemność.

Co się tyczy Corteja, był już w sąsiedniej hacjendzie. Żeby osiągnąć swój cel, wziął na swój żołd włóczącą się swobodnie po okolicy bandę, na którą trafił przypadkiem. Następnie ludzie ci dostali zadanie, by zaatakować i zabić Sternaua oraz jego towarzyszy po drodze, a gdy to się nie udało, bo ci zostali ostrzeżeni o zagrożeniu przez Bizonie Czolo i bezpiecznie doprowadzeni do swojego celu, postanowiono zaatakować hacjendę.

Spotkano ich w pobliżu, w Wąwozie Tygrysa, który był znany niektórym partyzantom. Tam jednak zostali ponownie podsłuchani przez Bizonie Czolo, a potem przez niego i Sternaua bez łaski i litości wymordowani.

Cortejo uważał się za zbyt wyniosłego, by przebywać razem z tymi ludźmi. Dlatego odwiedził pobliską hacjendę, o której właścicieli wiedział, że był wrogo nastawiony przeciw pocziwemu Petrowi Arbellezowi. Tam dotarła do niego wiadomość, że w okolicy Wąwozu Tygrysa

słyszano ostrą strzelaninę i szybko wyjechał, aby się przekonać, komu to zawdzięcza.

Gdy dotarł do wąwozu, *vaqueros* wracali już pod przywództwem Bizoniego Czola ze swoimi łupami i dlatego znalazł tylko nagie, obrabowane zwłoki swoich sojuszników. W najwyższym przestraczu zeskoczył z konia i przeszukał wąwóz.

– Byli tu z hacjendy del Erina – powiedział do swoich towarzyszy. – Dowiedzieli się, co zamierzamy i napadli na naszych ludzi. Sprawdźmy szybko, gdzie są konie!

Gdy dotarli do miejsca, gdzie na pastwisku były uwiązane wierzchowce, żadnego z nich nie było.

– Zniknęły, wszystkie zniknęły! – wołał Cortejo. – Ci ludzie dowiedzieli się dokładnie wszystkiego i wiedzieli, że byliśmy daleko i tu przyjedziemy. Zatem wrócą albo już znajdujemy się w zasadzce. Musimy uciekać i to szybko, natychmiast!

– Bez dokonania zemsty?! – zapytał ponuro jeden z jego ludzi.

– Zemścimy się, ale dopiero wtedy, gdy będziemy mieli szansę na sukces.

– A dokąd jedziemy?

– Tam, gdzie najszybciej będziemy bezpieczni przed walką i przesładowaniem, to jest do najbliższego miasta.

– Czyli do El Oro?

– Tak. Ale nie pojedziemy wprost, bo mogliby tam pojechać za nami. Dokonamy objazdu.

– Dobrze. Spełnimy pańską wolę, ale zastrzegamy sobie, że się zemścimy. Mamy obowiązek wyrównać rachunki za śmierć naszych kamratów.

– Powinniście spełnić swoją wolę.

Cortejo wypowiedział te słowa nie wiedząc, czy będzie mu dane spełnienie jego obietnicy. Uświadomił sobie, że jego zamiar był całkowicie nieudany, i że w hacjendzie del Erina będą mieli otwarte oczy. Na razie nie było nic do zrobienia. Sądził, że może z całą pewnością tak przypuszczać.

Wybrali zatem okrężną drogę na zachód i skręcili na południe dopiero wówczas, gdy prawie zostawili za sobą las. Zabrało im to dużo czasu i gdy dotarli w pobliżu El Oro, nastąpiła już noc.

Konie szły pewniej niż wcześniej, bo teraz czuły pod kopytami utartą drogę. Była to trasa prowadząca do miasteczka. Przed nimi migotało kilka latarni, a na górze z ciemności wynurzały się domy, gdy zatrzymały się, słysząc opryskliwy głos:

– Kto tam? – brzmiało pytanie.

– O co chodzi? – zapytał Cortejo.

– O co chodzi? Chcę dostać odpowiedź!

– Kim pan jest?

– Do pioruna, nie zauważył pan? To jest pan niezwykle głupcem. Jestem wartownikiem, rozumiano! Chcę wiedzieć, kim panowie są i czego tu chcą!

– Wartownik? Proszę nie żartować! – powiedział Cortejo. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego wystawia się tu straż?

– Zaraz się pan przekona, czy stoję tu dla żartu, czy na poważnie! – odpowiedział mężczyzna groźnym głosem. – Więc kto zacz?

– Dobry przyjaciel! – zaśmiał się Cortejo. – Przepuść nas dalej!

Wtedy mężczyzna wyjął gwizdek z kieszeni i dmuchnął w niego. Rozbrzmiał dźwięczny świst.

– Co pan robi? – zapytał Cortejo.

– Słyszysz pan przecież. Daję sygnał.

– Proszę nie robić głupstw!

Przy tych słowach Cortejo chciał odsunąć Meksykanina na bok, jednak ten natychmiast uderzył go strzelbą i zawołał:

– Cofnąć się! Nie ruszać się, albo wpakuję panu kulkę w głowę! Macie tu czekać, aż przyjdą ludzie. El Oro znajduje się w stanie oblężenia.

– Ach! Od kiedy!

– Od dwóch godzin.

– A kto je w taki stan postawił?

– *Señor Juarez*<sup>10</sup>.

<sup>10</sup> Benito Pablo Juarez García (1806-1872) – meksykański polityk, uznawany za bohatera narodowego, prezydent Meksyku; jest pamiętany jako przywódca meksykański,

To nazwisko wywołało natychmiastowy skutek. Ludzie towarzyszący Cortejowi sprawiali wrażenie, jakby chcieli odepchnąć strażnika, ale teraz cofnęli konie. Również Cortejo wydał okrzyk zaskoczenia.

– Juarez! – zawołał. – Czy on jest tu w El Oro?

– Słyszał pan przecież!

– O, to co innego. Zatem ulegam! Oto nadchodzą pańscy kamraci.

Na gwizd strażnika jako odpowiedź rozbrzmiał drugi i teraz nadeszło kilku bardzo dobrze uzbrojonych mężczyzn, z których jeden, ich przywódca, zapytał:

– Co jest, Hermillo?

– Ci ludzie chcą wjechać do miasta.

– Kim są?

– Jeszcze nie powiedzieli swoich nazwisk.

– To może mnie powiedzą.

– Nazywam się Cortejo – odezwał się szef – i jestem ze stolicy. Teraz znajduję się w drodze powrotnej do niej i chciałem przenocować w El Oro.

– Pozostali należą do pana?

– Tak.

– Kim pan jest?

– Jestem zarządcą majątku hrabiego de Rodriganda.

– Ach, zatem również dostoyny krwiopijca! Chodź pan za mną!

Słowa te zostały wypowiedziane niezbyt przyjaznym tonem.

– Wolę jednak jechać dalej – odparł szybko Cortejo.

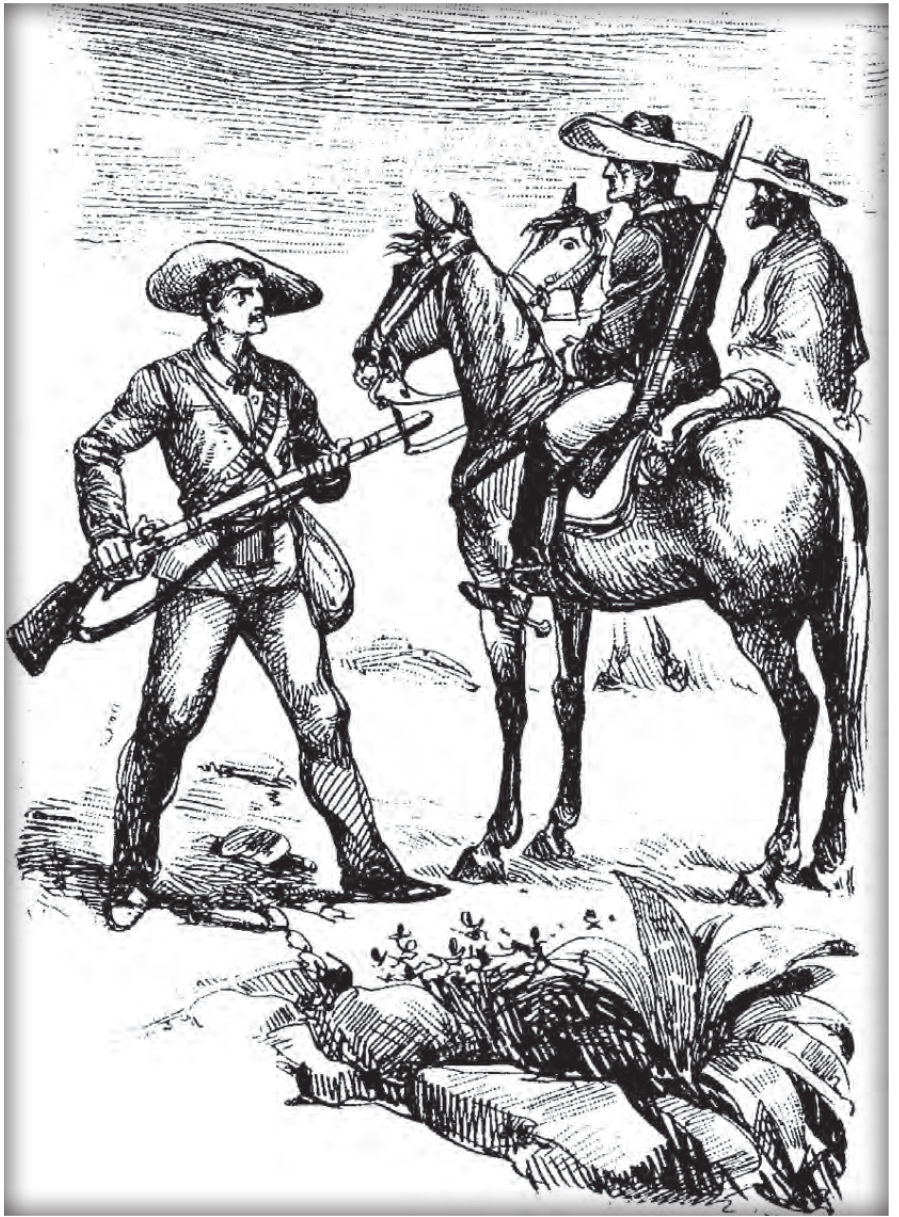
Jego obecne położenie zupełnie mu nie odpowiadało. Nie mogło być w żaden sposób dla niego korzystne. Dlatego poczynił tę ostatnią uwagę.

– To nie wchodzi w rachubę – odpowiedział dowódca. – Doszliście panowie aż do naszych wysuniętych placówek i nie wolno wam się cofnąć. Naprzód!

Teraz Cortejo podążył za nim. Nie było żadnym wielkim ryzykiem, by uciec w ciemność nocy, ale Cortejo nie był bohaterem. Wołał być posłuszny.

---

reformator i demokrat, zwolennik równych praw dla Indian, zmniejszenia wpływów Kościoła, obrońca niepodległości Meksyku.



– Ci ludzie chcą wjechać do miasta.



Dowódca patrolu eskortował ich do miasteczka, które składało się tylko z kilku domów, ale dzisiaj było bardzo ożywione. Wszędzie można było zobaczyć uwiązane konie, których jeźdźcy ucztowali z mieszkańcami.

Juarez jest tym samym człowiekiem, który później odegra znaczącą rolę w smutnym losie meksykańskiego cesarza Maksymiliana<sup>11</sup>. Nie był jeszcze teraz prezydentem, lecz przywódcą partii, jednak posiadał już wystarczającą sławę, by się go obawiano. Nie był białym, lecz Indianinem. Wiedziano, że był zuchwały, podstępny i okrutny, ale odznaczał się niezłomnym charakterem i wolą, która była prawie wystarczająca, aby wnieść przejrzystość i stanowczość w polityczny zamęt kraju.

Swoją kwaterę założył w najlepszym domu w miasteczku. Tam zostali zaprowadzeni Cortejo ze swoimi ludźmi. Przed wejściem stało na straży czterech uzbrojonych jeźdźców ze sztandarami i z wyciągniętymi szpadami. Cortejo zsiadł ze swoimi z koni i wszedł za przewodnikiem do wnętrza domu. Tam natychmiast wprowadzono go do dużego pokoju, w którym właśnie spożywano kolację.

Przy górnym szczyście stołu siedział Indianin Juarez. Nosił wówczas krótko przystrzyżone włosy – tak, że można było wyraźnie dostrzec kanciastą budowę jego silnej czaszki. Był dość prosto ubrany, prościej niż wszyscy panowie w jego otoczeniu, ale nawet obcy mógł zauważyć, że był panem ich wszystkich.

– Co jest? – zapytał krótko, gdy zobaczył wchodzących.

– Ci ludzie zostali zatrzymani przez wartownika – odpowiedział strażnik.

Ciemne oczy Indianina z kłującą ostrością skierowały się na Corteja.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Nazywam się Cortejo, jestem zarządcą hrabiego de Rodriganda i mieszkam w stolicy Meksyku – odpowiedział Cortejo.

Juarez zastanowił się przez chwilę, po czym ponownie zapytał:

---

<sup>11</sup> *Maksymilian I* (właśc. Ferdinand Maximilian Joseph Maria von Österreich, 1832-1867) – arcyksiążę austriacki, wicekról lombardzko-wenecki w latach 1857-1859, cesarz meksykański w latach 1864-1867, brat Franciszka Józefa I; rozstrzelany razem z generałami: Miguelem Miramónem i Tomásem Mejía; scena egzekucji została utrwalona na słynnym obrazie Édouarda Maneta „Rozstrzelanie cesarza Maksymiliana”.

– Tego bogatego Hiszpana de Rodriganda, do którego należy również hacjenda del Erina?

– Tak.

– Dokąd pan jedzie?

– Do domu w Meksyku.

– A gdzie pan tu był?

– W hacjendzie Vandaqua.

– Co pan tam robił?

– Odwiedziłem hacjendera.

– W jakim celu?

– Z przyjaźni.

Brwi Juareza ściągnęły się gniewnie. Zapytał:

– Ach, jest pan jego przyjacielem?

– Tak – odpowiedział beztrosko Cortejo.

– To nie jest pan moim. Ten człowiek jest zwolennikiem Miramóna<sup>12</sup>.

Cortejo wystraszył się. Miramón był prezydentem Meksyku, a Juarez dążył do prezydentury. Przemieszczał się po kraju, aby zebrać zwolenników i bezwzględnie niszcząc przy tym tych, którzy nie okazywali mu oddania.

– Nigdy nie pytałem go o jego polityczne poglądy.

Cortejo chciał się obronić tymi słowami, ale wydawało się, że nie poprawił swojego położenia, bo uderzyła go błyskawica z ciemnych oczu. Wargi Juareza rozchyliły się tak, że ukazały się białe, błyszczące zęby, prawie jak wyszczerzone zęby psa łańcuchowego.

– To mnie nie przekonuje! – powiedział. – Gdzie jest dwóch naprzeciw siebie, tam rozmawia się o polityce. To pociąga za sobą istniejący stan rzeczy. Poza tym wiem, że pan również jest zwolennikiem Miramóna.

To zabrzmiało groźniej niż wcześniej, a Cortejo, aby się obronić, pospiesznie rzekł:

– To musi być pomyłka, *señor*. Zawsze stoję z daleka od partii.

– Więc nie jest pan ani ciepły, ani zimny, a to jeszcze gorsze. Poza tym słyszałem, że hrabia de Rodriganda tylko na swoje życzenie otrzymał

<sup>12</sup> Miguel *Miramón* (1832-1867) – meksykański polityk konserwatywny i wojskowy, prezydent Meksyku, a później wielki marszałek Cesarstwa Meksyku; przyczynił się do osadzenia na tronie cesarza Maksymiliana.

cały *détachement*<sup>13</sup> lansjerów, by utrzymać hacjendę del Erina. Czy nie musi być przyjacielem prezydenta?

– Może on, ale ja nie!

– Ba! Jaki pan, taki sługa. Będę z panem ostrożny i dopóki nie przekonam się o czymś przeciwnym, będę uważał pana za szpiega.

– *Señor*, nie jestem nim! – zawołał trwożliwie Cortejo.

– To się okaże. Wydaje mi się pan podejrzany. Z Meksyku aż do hacjendy Vandaqua nie jedzie się z żadną cholerną przyjacielską wizytą!

– Ależ *señor*, w ogóle nie wiedziałem, że jest pan w El Oro!

– Więc chciał się pan dowiedzieć. Czy El Oro leży na drodze z hacjendy do Meksyku? Skąd taki objazd?

Cortejo nie potrafił ukryć zakłopotania.

– Milczy pan? – kontynuował Indianin. – Dobrze, każę pana uwięzić, a jutro prawda zostanie odkryta.

– Jestem niewinny! – zaklinał się Cortejo.

– To będzie korzystne dla pana! Ale teraz wyprowadzić go!

Wtedy spośród siedzących przy stole rozległ się czyjś głos:

– *Señor* Juarez, proszę pozwolić! Czy uważa mnie pan za prawdziwego przyjaciela?

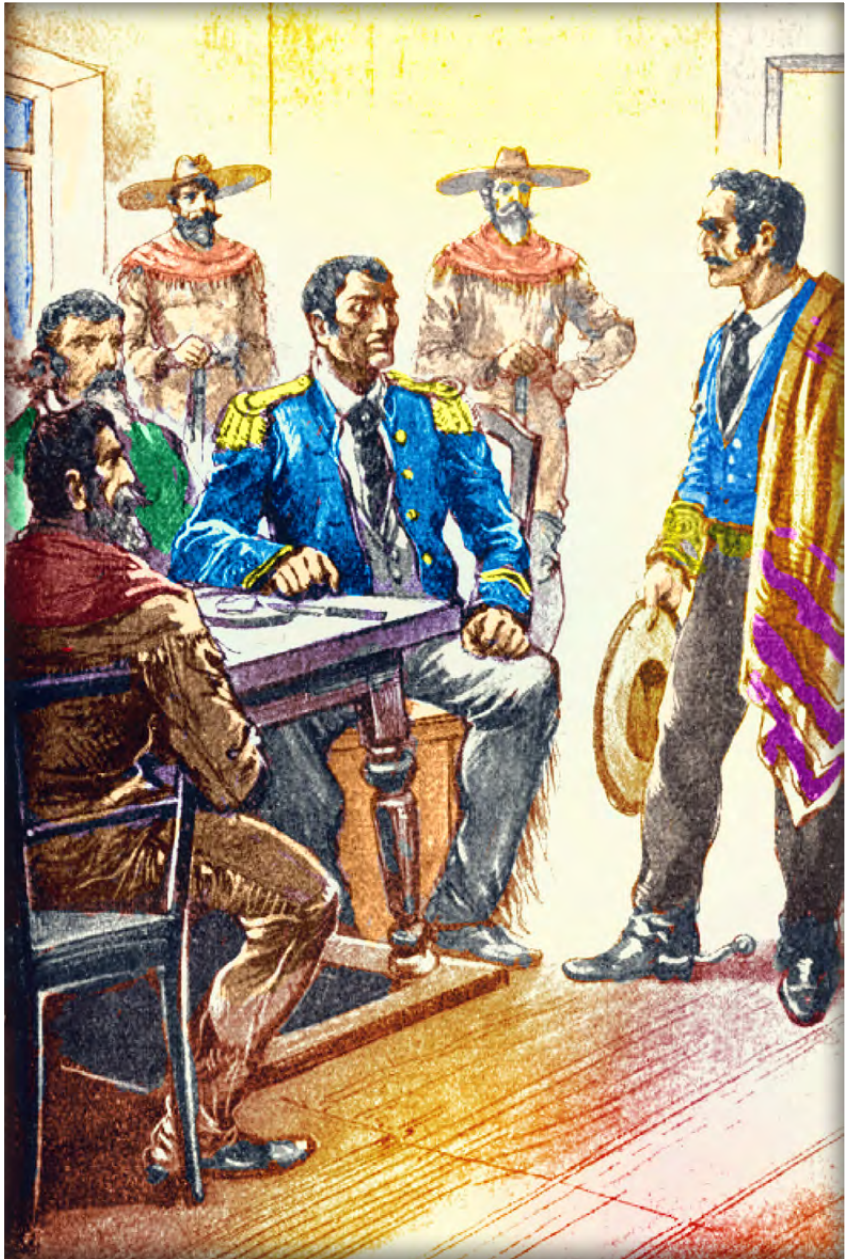
Mówcą był wielki, niezwykle silnie zbudowany Meksykanin. Jego postać rzuciła się w oczy tym bardziej, że przeciętny mieszkaniec Meksyku jest niskiego wzrostu.

– Co za pytanie, *señor* Verdoja! – odpowiedział Juarez. – Gdybym panu nie ufał, czy uczyniłbym pana kapitanem mojej osobistej straży? Do czego pan dąży tym pytaniem?

– Chciałbym pana prosić, żeby uwierzył pan słowom Corteja! – powiedział olbrzym.

W swoim zakłopotaniu Cortejo jeszcze nie przyjrzał się dokładnie otoczeniu i dlatego też nie zwrócił uwagi na tego człowieka. Ale wraz z głębokim, szorstkim dźwiękiem jego głosu przemknął po jego twarzy wyraz radosnego zaskoczenia. Czuł się uratowany, ponieważ znalazł swojego obrońcę.

<sup>13</sup> *Détachement* (fr.) – oddział (pododdział), odkomenderowany do specjalnych zadań.



– Ba! Jaki pan, taki sługa. Będę z panem ostrożny i dopóki nie przekonam się o czymś przeciwnym, będę uważał pana za szpiega.



Verdoja nie był wprawdzie żadnym milionerem, ale był dość zamożnym właścicielem ziemskim. Na północy kraju posiadał rozległe państwa i był sąsiadem Rodrigandów. Hrabia miał także w tym miejscu posiadłość. Znajdowały się tam kopalnie rtęci i dlatego Verdoja chętnie przejąłby tę posiadłość, ale hrabia Ferdinando nie chciał jej sprzedać.

– Dlaczego? Zna go pan? – zapytał Juarez.

– Tak – brzmiała odpowiedź.

– I nie uważa go pan za niebezpiecznego?

– Nie, przeciwnie, jest naszym przyjacielem. Ręczę za niego!

Juarez ponownie uważnie zmierzył Corteja, po czym powiedział:

– Jeśli pan ręczy, to może odejść, ale za wszystko jest pan odpowiedzialny.

– Dobrze, *señor*!

Wtedy Juarez zwrócił się do Corteja:

– Kim są ci ludzie z panem?

– Moi towarzysze. Zacni ludzie, którzy nikomu nic nie zrobią.

– Możecie odejść i poszukać sobie noclegu, ale pan może zjeść z nami.

Przekazuję pana *señorowi* Verdoji. Słyszał pan, że on jest za pana odpowiedzialny i mam nadzieję, że nie przyniesie mu pan wstydu.

W ten sposób pierwsze, tak niebezpiecznie wyglądające okoliczności zmieniły się na lepsze. Dla Corteja zrobiono miejsce przy stole. Podeszedł, żeby usiąść obok Verdoji i uczestniczył w kolacji ze słynnym albo raczej niesławnym Indianinem Juarezem, który został powołany, by zostać prezydentem Meksyku i zrzucić austriackiemu arcyksięciu z głowy cesarską koronę.

Posiłek nie był wytworny, ale za to bardzo obfity. Spożywano w dużych ilościach dania i trunki, a gdy skończono, nikt nie mógł powiedzieć, że jest trzeźwy. Tylko sam Juarez był powściągliwy, jak to zazwyczaj Indianie. Wstał od stołu i wycofał się.

Był to sygnał do wyjścia i dopiero teraz Verdoja i Cortejo mogli ze sobą swobodnie rozmawiać. Ten pierwszy wziął drugiego pod ramię i opuścił z nim dom.

– Będzie pan spał u mnie – zdecydował. – Mam nadzieję, że nie jest dla pana nieprzyjemne, żeby dzielić ze mną moją kwatere!

– Przeciwnie, jestem bardzo z tego zadowolony – odpowiedział Cortejo. – Proszę przyjąć moje podziękowania za pańskie poparcie, *señor* Verdoja. Bez tego być może nie spałbym spokojnie dzisiejszej nocy.

– Bardzo prawdopodobne. Wręcz się przeraziłem, gdy usłyszałem, że był pan w hacjendzie Vandaqua. Właśnie jej przecież, mówiąc w zaufaniu, dotyczy nasza wizyta.

– Czy to możliwe?!

Cortejo wystraszył się teraz dodatkowo tak, że poczuł się, jakby otrzymał cios. Znał reputację Indianina i teraz zdał sobie sprawę, że jego życie wisiało na włosku.

– Tak, tak jest – odpowiedział kapitan. – Wprawdzie nie powinienem panu o tym mówić, bo to jest jeszcze tajemnica, ale co do diabła, miał pan do roboty w tej hacjendzie? Z tego, co wiem, ten sąsiad nigdy nie był wobec pana zbyt uprzejmy!

– Zmieniło się, *señor* Verdoja. On nie jest już moim sąsiadem!

– Nie? Jak to się stało?

– Hacjenda del Erina już nie zależy do nas.

– Do kogo zatem? Sprzedał ją pan?

– Nie. Odziedziczył ją Petro Arbellez.

– Do pioruna! Po hrabim Ferdinandzie?

– Tak.

– A niech to piorun strzeli! Mnie nie sprzedał skrawka ziemi, który chciałem, a tu podarował obszar o powierzchni dwudziestu geograficznych mil kwadratowych<sup>14</sup>. Dobrze, o tym porozmawiamy później. Proszę wejść, tu mieszkam.

Weszli do domu, którego drzwi otworzyły się, gdy się zbliżyli. Właściciela domu nie było widać. Verdoja miał najlepszy pokój. Jego łóżko było gotowe, a na stole znajdował się posiłek.

– Chyba nie będziemy jeść – powiedział. – Tu na łóżku ja śpię, a pan musi zadowolić się hamakiem, który rozłożymy.

– Jestem zadowolony. Proszę się mną nie kłopotać, *señor* – odrzekł Cortejo.

---

<sup>14</sup> *Mila geograficzna* – jednostka długości wynosząca 1/15 stopnia na równiku, czyli 7,4216 km.

Hamak został przygotowany i Cortejo zajął w nim miejsce. Kapitan usiadł na łóżku, podał rządcy papierosa, sam też zapalił, a potem zapytał:

– Jak slyszalem, hrabia Ferdinando nie żyje?

– Zgadza się.

– I Alfonso jest dziedzicem?

– Tak.

– Przebywa w Hiszpanii?

– Od jakiegoś czasu.

– Czyli pan zupełnie sam zarządza jego ziemiami?

– Tak.

– Zazdroszczę panu, *señor* Cortejo! – zaśmiał się cynicznie Verdoja. – Siedzi pan na złożach i będzie dzielił cudze. Czy przy tej okazji nie mogłoby coś przypaść dla mnie, mój drogi Cortejo?

– Ma pan na myśli złoża rtęci?

– Naturalnie.

– Hm, teraz łatwiej możemy o tym rozmawiać niż wcześniej. Ale proszę mi jeszcze powiedzieć, co Juarez chce w hacjendzie Vandaqua?

– Chce hacjendera złapać za gardło.

– Do wszystkich diabłów! Dlaczego?

– Został przez niego zdradzony.

– W jaki sposób?

– Tego nie wolno mi powiedzieć, ale to jest pewne, że jutro o tej porze hacjendero nie będzie już żył. Juarez nie zna litości i wyrozumiałości. Poza tym przy okazji obejrzę sobie też pańską hacjendę del Erina.

– Ach! W jakim celu?

– Ponieważ część z nas stanie tam na kwaterze.

– Hm! – mruknął Cortejo – I pan z nimi?

– Tak.

Cortejo wpatrywał się przed siebie, a kapitan, który to zauważył, zapytał:

– O czym pan myśli, *señor*?

– O ziemi z rtęcią – uśmiechnął się Cortejo.

– Dlaczego? Chce pan namówić hrabiego Alfonsa, by mi ją sprzedał?

– Nie, tylko chcę coś zrobić, co będzie dla pana bardziej przyjemne.





*Hamak został przygotowany i Cortejo zajął w nim miejsce.*

- Co? Zaciekawiał mnie pan.
  - Posiadłość, którą raczej pan nazywać krainą rtęci, odpowiada panu?
  - Naturalnie. Leży przecież przy mojej granicy.
  - Hrabia Ferdinando nie sprzedał jej, bo uważał, że jest tam ogromne bogactwo metali.
  - Myli się!
  - Ba! Wie pan tak samo dobrze jak ja, że on ma rację, *señor* Verdoja.
- Ile daje pan za tę ziemię?
- Chce pan sprzedać? – zapytał szybko Verdoja.
  - Przede wszystkim chcę wiedzieć, ile pan oferuje.
  - Hm, tego nie będzie dużo. To nie pastwisko, a ja właśnie tego potrzebuję.
  - Niech się pan nie zachowuje jak Żyd krytykujący przedmiot, którego pragnie. Od dawna się znamy i sądzę, że możemy szczerze ze sobą rozmawiać. Zatem proszę mówić!
  - Jak już powiedziałem, to nie jest pastwisko. Składa się ze stromych, niezarośniętych pagórków i głębokich, jałowych wąwozów, ale leży w moim sąsiedztwie i dlatego zaoferuję jakieś sto tysięcy pesos.
- Cortejo zaśmiał się i powiedział:
- Jest pan po sto tysięcy razy niemądry.
  - Dlaczego tak pan sądzi, *señor*?
  - Posiadłość została kupiona przez hrabiego za pięćset tysięcy pesos i jest warta taka, jaka jest teraz, przynajmniej cztery razy tyle.
  - To pański pogląd!
  - Prawdziwe są jednak moje przypuszczenia, że tam obok rtęci można znaleźć też jeszcze metale szlachetne, zatem nie można zapłacić mniej niż pięć milionów, ponieważ przyniesie rentę, która może wynieść nie sto tysięcy, lecz prawie milion.
  - Pan fantazjuje!
  - Przedstawiam moje trzeźwe spojrzenie, ale nie mówię o teraźniejszości, lecz o przyszłości i wychodzę przy tym z założenia, że owa część ziemi utrzyma liczną klasę robotniczą.
  - Ale nie płaci się za założenia!
  - Wiem o tym. Nie przedstawiam panu tego w egoistycznych, lecz w bardzo dobrych intencjach.

– Do stu piorunów, od kiedy stał się pan tak życzliwy?

– Od dzisiaj. Wie pan, że potrafię liczyć, ale dzisiaj oddał mi pan ogromną przysługę. Bez pana pewnie byłbym rozstrzelany i dlatego nie chcę się z panem rachować z powodu ziemi z rtęcią.

Kapitan zrobił szyderczą minę i zapytał kpiąco:

– Chyba nie chce mi pan podarować tej posiadłości?

– Tak – odpowiedział Cortejo.

Verdoja zerwał się z łóżka.

– Co pan powiedział? – zawołał.

– To, co pan słyszał: że chcę panu sprezentować tę piękną ziemię z rtęcią.

Kapitan ponownie usiadł na łóżku i powiedział zimno:

– Nonsens! To brzmi wręcz skandalicznie!

– A jednak to prawda!

– Słuchaj, Cortejo, co by pan zrobił, gdyby przyszło mi do głowy trzymać pana za słowo?

– Dotrzymałbym go.

– Słuchaj, teraz to pan jest po sto tysięcy razy niemądry, jak to wcześniej mi pan powiedział!

– Tylko tak się to wydaje; bardzo dokładnie wiem, co mówię.

– Mów pan poważnie i nie pozwalaj sobie na żadne takie głupie żarty wobec mnie! – zniecierpliwił się Verdoja.

– Mówię poważnie, *señor*.

– Ale, do diabła, przeciw takiej ziemi nie daje w prezencie żaden w polowie rozsądny człowiek!

– Przynajmniej nie bez dalszych zamiarów i kalkulacji.

– Ach, teraz jest wyjaśnienie! Ma pan do tego również zamiary i kalkulacje?

– Oczywiście!

– Czy można je poznać?

– To się rozumie! Chodzi mianowicie o małą przysługę, którą powinien mi pan wyświadczyć.

– Proszę mówić! Jestem ciekawy dowiedzieć się, za jaką przysługę mam otrzymać taką gratyfikację.

– Hm, trzeba być przy tym nieco ostrożnym. Wprawdzie się znamy, więc możemy sobie zaufać. Wiem, że dysponuje pan potężną siłą fizyczną...

– Istotnie. Ale co to ma do rzeczy?

– Że jest pan zdolnym strzelcem i szermierzem...

– Oczywiście! Wiem też, jak władać sztyletem.

– To jest to, czego potrzebuję. Zakładam również, że utrzymywał się pan w dobrej kondycji...

– Pewnie – zaśmiał się kapitan. – Niejeden, który odważył się mnie zaczepić, musi gryźć murawę.

– No, więc pańskie akcje stoją dość dobrze. Chodzi mianowicie o kilka osób, które stanęły mi na drodze.

– Ach! – zawołał kapitan. – Taką przysługę ma pan na myśli, *señor* Cortejo?

– Zgadza się.

– Chce mnie pan wynająć jako skrytobójcę?

– Nie. Chcę tylko zwrócić pana uwagę na pewnych ludzi, z którymi mógłby pan bardzo łatwo się pokłócić. A potem, o ile pana znam, wiedziałby, pan jak sobie poradzić.

– Tak mi się wydaje. Więc gdyby ci ludzie się mnie uczepili i dostali przy tym kulkę, dobre pchnięcie albo cios, to wtedy... hm?

– To sprezentowałbym panu ziemię z rtęcią.

– Do pioruna! Czy to prawda? – zapytał zachwycony Verdoja.

– Pewnie.

– Ale ziemia nie jest pańska, należy do hrabiego Alfonza de Rodriganda.

– On by się zgodził.

– Chce pan powiedzieć, że podpisałby akt darowizny?

– Tak, dokładnie to i nic innego nie chcę powiedzieć, *señor* Verdoja.

– Niczego nie pragnę z całej duszy, jak spotkać tych ludzi.

– Nic prostsze. Może zobaczy ich pan już jutrzejszego dnia.

– Gdzie?

– W hacjendzie del Erina.

– Do wszystkich diabłów! Chyba nie ma pan na myśli starego *señora* Petra Arbelleza?

– Nie, lecz jego gości. Przebywa u niego kilku mężczyzn, których chętnie chciałbym zobaczyć w niebie albo również w piekle.

– Kim oni są?

– Przede wszystkim jest tam niemiecki lekarz, który nazywa się Sternau.

– Pięknie. Zapamiętam to nazwisko.

– Następnie niemiecki żeglarz, on nazywa się chyba Helmers. A trzeci jest Hiszpanem, który zwany jest Mariano albo też porucznik Alfred de Lautreville.

– Więc ci trzej?

– Tak.

– Sternau, Helmers i Mariano albo Lautreville. Nie zapomnę tych nazwisk. Zakładam w takim w takim razie, że zaczną ze mną kłótnię i ja się przed nimi obronię, a wtedy ziemia z rtęcią jest moja?

– Tak.

– Kto mi to zagwarantuje?

– Ja, moim słowem honoru.

– Hm, wprawdzie jest to też gwarancja, ale niepewna. Co właściwie ma pan przeciwko tym ludziom? Obrazili pana?

– Tak.

– Proszę mi tu nie mataczyć, *señor* Cortejo. Abyście się zemścić za zniewagę, nie oddaje się takiej posiadłości za nic. To musi być coś innego.

– A jeśli tak, co to pana obchodzi?

– To prawda, ale dlaczego sam ich pan ich nie usunie?

– Mogę? Jesteśmy z Petrem Arbellezem poróżnieni i nie wolno mi z tego powodu pokazywać się w hacjendzie del Erina.

– Zatem czekaj na okazję, gdy opuszczą hacjendę!

– Mój urząd nie daje mi na to czasu. Zresztą właśnie dlatego teraz tu jestem. Chcę panu powiedzieć, że zwerbowałem grupę pięknych łotrów...

– Z powodu trzech ludzi? – zadrwił kapitan.

– Tak, śmieję się pan! Tych trzech facetów ma w sobie dziewięćdziesiąt dziewięć diablów!

– To daje po trzydziestu trzech na osobę. Wygląda na to, że nie poradził pan sobie z nimi?

– Nie. Wystrzelali moich wszystkich ludzi i tylko przypadkiem wyszedłem bez szwanku z kilkoma, których przy mnie widzieliście.

– To byłby cud albo coś podobnego! Zatem jestem ciekawy poznać tych trzech drabów. Więc ci ludzie, których ma pan przy sobie, zostali przez pana zwerbowani?

– Tak.

– To znaczy, że nie zwracają zbyt dużej uwagi na to, co nazywa się prawem i sumieniem?

– Nie.

– Hm, tacy by mi się przydali. Kiedy mógłby pan mi ich odstąpić, *señor*?

Po tych słowach Cortejo poczuł, że kamień spada mu z serca.

– Bardzo chętnie – powiedział. – Nie wiedziałem, co mam z nimi począć. Oni wszyscy są zapaleni, aby zemścić się na tych trzech, a przy mnie nie mogliby teraz mieć ku temu okazji.

– Dobrze, to powinni tę okazję znaleźć przy mnie. Jutro skoro świt porozmawiam z nimi. Wraca pan do Meksyku?

– Tak.

– Zatem dam panu wiadomość, jak tylko mi się to uda.

– Wówczas akt darowizny lub fikcyjnego kupna trafi natychmiast do Hiszpanii, by podpisał go hrabia Alfonso. Ale jak zacznie pan pozbywać się tych trzech facetów?

– Tego teraz jeszcze nie wiem. Będę mógł na to odpowiedzieć dopiero wtedy, kiedy ich sobie obejrzę i pogadam. Czy ma pan jeszcze jakieś uwagi w tej sprawie?

– Nie.

– Życzę więc dobrej nocy. Proszę spać spokojnie. Muszę najpierw pójść, by sprawdzić posterunki. Juarez jest w tych sprawach bardzo zasadniczy, a gdy zauważy niedbalstwo, to nawet głowa oficera nie będzie mocno osadzona na jego karku.

Cortejo położył się w swoim hamaku i uśmiechał się zadowolony z siebie. Mógł spokojnie i beztrąsko wrócić do Meksyku, ponieważ był przekonany, że powierzył swoje sprawy w najlepsze ręce.

Znał Verdoję jako surowego, pozbawionego skrupułów i chciwego człowieka, który, aby zdobyć ziemię z rtęcią, popełni nie tylko trzy, ale dziesięć albo dwadzieścia morderstw. Nawiasem mówiąc, wciąż przestrzegał sobie dotrzymanie słowa jedynie warunkowo. Gdyby ci trzej zostali zabici, to można by sprawę przecież łatwo po prostu zignorować. Verdoja z pewnością nie odważy się sądownie dochodzić zapłaty za swoją zbrodnię, bo wtedy przecież sam byłby zgubiony.

Podczas gdy Cortejo pogrążył się w tych rozmyślaniach, kapitan chodził od posterunku do posterunku. Przy tym poświęcał mniej uwagi swoim militarnym obowiązkom niż myślom, które wzbudzał w nim osobliwy handel.

„Więc nie była to obraza, z powodu której mają zniknąć lub umrzeć – myślał. – Zatem co?”

Poszedł kawałek w ciemną noc i rozważał w myślach:

„To jest wysoka cena, jaką on płaci. Posiadłość rzeczywiście jest warta milion, a jeśli ktoś płaci milion, to musi w tym chodzić o coś więcej. Ale co to może być? Hrabia daje ziemię z rtęcią, wobec tego musi chodzić o całe hrabstwo. Tak należałoby sądzić. Kim są ci trzej? Lekarz i żeglarz. Obaj są Niemcami. Trzeci jest Hiszpanem. Mówią na niego Mariano albo Alfred de Lautreville. To brzmi bardzo tajemniczo. Wygląda, że jest tym, o którego właściwie chodzi”.

Przeprowadzał dalej inspekcję, ale nie mógł odwrócić swojej uwagi od tego tematu. Ogromna korzyść, jaką obiecywała mu ta transakcja, uwięziła wszystkie jego myśli.

„Ale czy on też dotrzyma słowa? – myślał dalej. – Znam tego Corteja jako wierutnego cwaniaka. A co, jeśli zabiję tych trzech, a on będzie się zachowywał tak, jakby nic nie wiedział o całej sprawie? Wtedy ziemię z rtęcią diabli by wzięli. Nie będę mógł nic zrobić. Ale Cortejo też pójdzie do diabła. To jest pewne. Przemyszę tę sprawę”.

Wrócił do swojej kwatery i położył się do łóżka. Następnego ranka kazał do siebie wezwać dotychczasowych towarzyszy Corteja i przyjął ich w obecności tego ostatniego.

– Kim właściwie jesteście? – zapytał ich.

Ten, który już wczoraj stał się rzecznikiem, odpowiedział:

- Czy *señor* Cortejo nie powiedział panu?
- Nie.
- Cóż, jesteśmy biedakami, którzy w różny sposób zarabiają na chleb.
- Czy ten sposób nie budzi w was wątpliwości?
- To mi nie przyszło do głowy.
- Czy chce pan trochę zarobić przy mnie na chleb?
- To nie wchodzi w rachubę, bo jesteśmy teraz na służbie u *señora* Corteja.
- On przekazał was mnie.
- Oho! – zawołał mężczyzna. – To nie wchodzi w rachubę!
- Dlaczego nie?
- To jest sprawa nasza i *señora* Corteja.
- O wszystkim mi opowiedział – powiedział oficer. – Możecie panowie otwarcie ze mną rozmawiać.
- Czy to prawda, *señor*? – zapytał ten człowiek Corteja.
- Tak – odpowiedział rządca.
- Nie możesz tego zrobić, *señor*! Nie wolno panu nikomu nas przekazywać; jesteśmy wolnymi ludźmi. Obiecał nam pan, że możemy pomścić naszych kamratów!
- Dotrzymam słowa. Nie mam czasu, by prowadzić was dalej, ale ten *señor* zrobi to w moim imieniu.
- Czy to prawda?
- Tak – potwierdził Verdoja. – Powinniście ich pomścić. Pojedźcie ze mną do hacjendy del Erina.
- Z lansjerami?
- Nie. To nie wchodzi w rachubę. Ścigają nas. Znasz hacjendę?
- Tak.
- Czy ma ogrodzenie?
- Tak, bardzo solidne.
- No dobrze. Dzisiaj o północy – do tego czasu pozostaniecie w ukryciu – jeden z was pojedzie do najbardziej wysuniętego na południe krańca tego ogrodzenia. Będę tam, by mu udzielić mu wskazówek.
- Ale co z ceną?
- Pozostaje taka, jak u *señora* Corteja.



– To jesteśmy zadowoleni. Możemy wyruszać?

– Nie. Juarez jeszcze nie wydał rozkazu.

Tymczasem odeszli. Kapitan udał się do kwatery Juareza i wkrótce otrzymał tam rozkaz, by przyprowadzić Corteja. Gdy ten wszedł, Indianin stał w pokoju i powitał go chmurnym spojrzeniem.

– Wiesz, komu zawdzięczasz swoje życie? – zapytał go.

– Wiem. Straciłbym je niewinnie.

– Milcz! *Señor* Verdoja nadal za ciebie ręczy. Jedziesz do Meksyku?

– Tak.

– Nikt nie wie, że jestem w El Oro, ale mogą się dowiedzieć od ciebie. Dlatego nie mogę ci pozwolić stąd odejść.

– *Señor*, będę milczał!

Przyszły prezydent pogardliwie machnął ręką i powiedział lekceważąco:

– Biały nigdy nie milczy. Tylko Indianin wie, jak być panem swojego języka. Biały dotrzymuje swojego słowa tylko wtedy, gdy przysięgnie.

– Zatem przysięgnę, *señor*.

– Dobrze, przysięgaj!

Cortejo musiał podnieść dłoń i przysiąc, że nie zdradzi niczego o spotkaniu z Juarezem. Dopiero teraz Indianin zdawał się mu wierzyć.

– Teraz możesz odejść – rzekł. – Weź ze sobą swoich ludzi i pamiętaj, że jesteś za nich odpowiedzialny!

Minutę później Cortejo siedział na koniu i opuścił El Oro w przeciwnym kierunku, niż nadjechał wczoraj. Towarzyszyli mu partyzanci, bo przecież nikt nie mógł wiedzieć, że pozostają do dyspozycji kapitana. Dopiero po jakimś czasie oddzielili się od Corteja i próbowali objazdem dojechać do hacjendy del Erina. Do tej pory nie szczęściło się w zamiarach co do hacjendy, ale teraz płonęli z żądzy hojnego wynagrodzenia sobie swoich przeżyć.

Krótko po odejździe Corteja dźwięk trąbki oznajmił wymarsz. Lansjerzy dosiedli koni. Juarez z oficerami znajdował się na czele, a potem przelecieli przez równinę na swoich półdzikich zwierzętach, jak wichura, której nikt nie może się oprzeć.

W tamtym okresie były to naprawdę złe czasy dla Meksyku. Już dawno mieszkańcy odłączyli się od macierzystej Hiszpanii i wybrali sobie swojego władcę, ale nie mieli siły, by stać się niezależnym państwem. Jeden prezydent wypierał drugiego. Finanse znajdowały się w oplakany stanie. Kasta urzędnicza była skorumpowana. W kraju nie panowała ani wiara, ani posłuszeństwo. Wojsko nie chciało słuchać. Każdy oficer chciał rządzić, a każdy generał pragnął być prezydentem.

Ten, kto doszedł do steru, próbował natychmiast wyzyskać kraj, bo wiedział, że nie pozostało mu na to dużo czasu. Następca robił dokładnie to samo, podobnie jak namiestnik każdej prowincji. W końcu żaden poddany nie wiedział, komu ma być posłuszny, a w najlepszej sytuacji znajdowali się hacjenderowie, zamieszkujący odległe okolice.

W środku tego zamieszania pojawił się Juarez i wkrótce zdobył taki wpływ, że, chociaż nie był nawet prezydentem, podpisywał traktaty z rządem Stanów Zjednoczonych. Czasami był tu, zaraz potem tam. Ganiał po całym kraju, aby werbować do siebie, nagradzać i karać, i w tym celu przybył dzisiaj również do hacjendy Vandaqua.

Gdy dotarli tam lansjerzy, ich widok wzbudził strach. Juarez zsiadł z konia i wszedł do domu w towarzystwie swoich oficerów. Właściciel znajdował się ze swoją rodziną przy drugim śniadaniu, gdy wszedł groźny wódz.

– Znasz mnie? – zapytał Indianin ostro.

– Nie – odpowiedział hacjendero.

– Jestem Juarez.

Po tych słowach mężczyzna pobladł.

– O święta Madonno! – zawołał.

– Nie wzywaj Madonny, to na próżno, bo ona ci nie pomoże! – powiedział ponuro Juarez. – Czy jesteś zwolennikiem prezydenta?

Właściciel pobladł.

– Nie – odparł.

– Nie kłam! – zagrzmiał Indianin. – Korespondujesz z jego zwolennikami?

– Nie.

– Przekonam się. Przeszukać!

Ostatnie słowa skierowane były do oficerów. Ci skinęli na kilka drużyn i teraz rozpoczęło się dokładne przeszukanie całego domu. Po jakimś czasie przyszedł jeden z oficerów z paczką listów, które bez słowa przekazał Indianinowi. Ten wziął je również bez słowa i przeczytał. Gdy hacjendero zobaczył przyniesione listy, śmiertelnie pobladł. Teraz wlepił swoje pełne przestraszenia spojrzenie w twarz Juareza. Jego rodzina stała cicho w kącie i oczekiwała z walącymi sercami na to, co nadejdzie. Wreszcie Juarez skończył czytanie. Wstał z krzesła i zapytał hacjendera:

– Dostałeś te listy?

– Tak.

– I czytałeś?

– Tak.

– I odpowiedziałeś?

– Tak.

– Zatem wcześniej kłamałeś. Jesteś zwolennikiem prezydenta. Jesteś członkiem spisku przeciwko wolności narodu. Tu masz swoją nagrodę!

Wyciągnął pistolet, wycelował i strzelił. Hacjendero, trafiony w czoło, runął na podłogę. Rozległ się gromki, wielogłosowy krzyk przerażenia, który wydali krewni osądzanego. Juarez zwrócił się do nich z niezachwianym spokojem i chłodem:

– Milczeć! Wy też jesteście winni, ale nie umrzecie. Opuśćcie dom. Konfiskuję tę hacjendę ze wszystkim, co do niej należy jako własność państwa. Macie się wynieść w ciągu godziny. Zapewniam wam konie, na które możecie spakować swój dobytek. Wolno wam również zabrać wasze pieniądze. Teraz zejść mi z oczu!

– Czy wolno nam zabrać ciało? – zapytała żona, lkając.

– Tak. Teraz wynoście się!

Ludzie podnieśli zmarłego i wynieśli go. Gdy minęła godzina, opuścili hacjendę ze łzami w oczach. Teraz Juarez dał ją swoim żołnierzom. Była plądrowana tak długo, jak długo było coś do znalezienia. Potem zarżnięto kilka wołów i zaczęto ucztować pod gołym niebem.

Juarez tymczasem pozostał w pokoju. Verdoja nadzorował plądrowanie. Gdy teraz wszedł do Indianina, ten powiedział:



*Zatem wcześniej kłamałeś. Jesteś zwolennikiem prezydenta. Jesteś członkiem spisku przeciwko wolności narodu. Tu masz swoją nagrodę!*



– Tak muszą skończyć wszyscy, którzy zgrzeszyli przeciwko dobremu ojczyzny. Verdoja, jesteś mi wierny?

Skierował przy tym ostrzegawczy, tygrysi wzrok na oficera. Ten odpowiedział spokojnie:

– Tak, *señor*, pan to wie.

– Dobrze. Przydzielę ci zadanie. Jesteś odważny?

– Hm, czy widział pan kiedyś, jak zbladłem? – zaśmiał się kapitan.

– Nie, i dlatego przyniesie ci to wielki honor. Znasz dokładnie prowincję Chihuahua?

– Tam się urodziłem i na granicy mam posiadłość.

– Dobrze. Udasz się do stolicy o tej samej nazwie i tam będziesz reprezentował moje interesy. Dzisiaj się rozdzielimy, ale najpierw będziesz mi towarzyszył do hacjendy del Erina.

– Czy mam podróżować z eskortą wojskową?

– Dostaniesz jeden szwadron, ja wrócę z drugim. W drogę!

Minutę później siedzieli na koniach i odjechali tylko w towarzystwie kilku lansjerów. Jeden z obecnych *vaqueros* musiał zostać ich przewodnikiem.

Gdy dojechali do hacjendy, zaraz zostali zauważeni. Ponieważ jej mieszkańcy byli sprytni, to porządnie zamknęli wrota. Sam Juarez zapukał.

– Kto tam? – zapytał Arbellez z wewnątrz.

– Żołnierze. Otwierać!

– Czego chcecie?

– Do wszystkich diabłów, otworzy pan czy nie?

Obok hacjendera stali: Sternau, Helmers i Mariano.

– Mam otworzyć? – zapytał ten cicho.

– Tak – odpowiedział Sternau – jest tylko kilku jeźdźców.

Gdy wrota zostały otwarte i Juarez wjechał na podwórze, zmierzył iskrzącym wzrokiem stojących przed nim ludzi.

– Dlaczego nie posłuchaliście? – zagrzmiał.

– Nie znamy pana – odparł Arbellez. – Czy jest pan jednym z tych, którym trzeba być posłusznym, *señor*?

– Jestem Juarez. Zna pan to nazwisko?

Arbellez skłonił się bez wielkiego zakłopotania i odrzekł:

– Znam je dobrze. Proszę wybaczyć, że od razu nie otworzyłem. Zapraszam do mojego domu. Jest pan u nas mile widziany.

Poprowadził obu gości do salonu, gdzie usiedli bez zbędnych ceregieli. Pomimo milego przywitania, Juarez nadal miał ponurą minę. Zapytał:

– Widział pan, że nadjeżdżamy?

– Tak.

– I widział pan, że jesteśmy żołnierzami?

– Tak, widziałem.

– I mimo to nie otworzył pan bramy? To zasługuje na karę!

– Och, *señor*, prezydent też ma żołnierzy. Ci nie są u mnie mile widziani. Nie mogłem wiedzieć, że to pan sam osobiście przybywa.

Rysy Juareza rozpogodziły się.

– Zatem jestem u pana mile widziany?

– Z całego serca.

– Dlaczego?

– Ponieważ ma pan silną rękę, *señor*, a tej brakuje naszemu biednemu krajowi.

– Tak. Tę silną rękę już kilku poczuło. Przed chwilą ponownie kolejny. Proszę powiedzieć, zna pan hacjendę Vandaqua?

– Znam ją dokładnie.

– I wszystko, co jej dotyczy?

– Wszystko. Jestem przecież sąsiadem.

– Ile jest warta dzierżawa tej posiadłości, *señor* Arbellez?

– To jest własność, a nie dobro dzierżawne.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie! – rzekł niecierpliwie Juarez.

– Cóż, jeśli znajdzie się w dobrych rękach, można by dać dziesięć tysięcy duros, ale teraz nie.

– Dobrze, to dostanie ją pan w dzierżawę za siedem tysięcy duros.

Arbellez ze zdumieniem spojrział na Indianina.

– *Señor*, nie rozumiem pana – powiedział.

– Mówię wystarczająco wyraźnie. Sądzę, że ta dzierżawa odpowiada panu. Chce ją pan czy nie?

– Nie mam pojęcia, czy hacjenda Vandaqua jest do wynajęcia!

– Jest. Skonfiskowałem ją na rzecz państwa i daję ją panu.

Arbellez wystraszył się.

– Właściciel zmarł od mojej kuli, bo był zdrajcą. Jego rodzina musiała opuścić posiadłość. Proszę się szybko decydować, *señor!*

– Jeśli tak to wygląda, to mówię „tak”. Jednak...

– Żadnych „ale”! Przynieś pan coś do pisania! Chcemy natychmiast tę sprawę uporządkować.

Jak wszystko, co Juarez wziął w ręce, tak i ta sprawa została załatwiona w pośpiechu i porządku, a jednocześnie całkiem starannie i prawidłowo. Potem powiedział:

– Ten *señor* to kapitan Verdoja. Przez kilka dni będzie mieszkał u pana.

To było dla hacjendera zaskoczeniem, ale nie pozwolił niczego po sobie poznać i serdecznie powitał kapitana.

– Ma ze sobą szwadron lansjerów. Da pan radę ich wyżywić?

Arbellez przytaknął, chociaż wołałby powiedzieć: „nie”.

– Ci ludzie przybędą tu około wieczora. Proszę się o nich zatroszczyć i potem dać kapitanowi pański rachunek. Bądź zdrow!

Podniósł się i wyszedł za drzwi. Verdoja poszedł za nim. Odjechali stamtąd ze swoimi towarzyszami galopem, wprawiając mieszkańców hacjendy del Erina w zdumienie.

Dlaczego sąsiad musiał umrzeć? Dlaczego właśnie Petro Arbellez miał być dzierżawcą? Więc ten człowiek to Juarez, wielki Indianin, którego obawiał się cały Meksyk, a jednocześnie kochał i nienawdził? Ci, którzy zadali to pytanie, nie mieli pojęcia, jakie konsekwencje przyniosą im rozkazy przywódcy partii.

Kiedy Juarez dotarł do hacjendy Vandaqua, zastał ułożone przed domem wszystko, co lansjerzy uważali za warte zabrania. Łup ten został podzielony i choć nie było tego dużo, to wzbudzał nieskończoną radość wśród tych, którzy nie byli przyzwyczajeni do luksusu.

Wszystko się skończyło i kapitan Verdoja otrzymał instrukcje. Jego pobyt u Arbelleza miał na celu jedynie odpoczynek i wzmocnienie koni, ponieważ droga do Chihuahua miała być bardzo uciążliwa. Verdoja nie miał zatrzymywać się zbyt długo w hacjendzie del Erina, aby potem starać się szybko dotrzeć do celu, gdzie miał działać w interesie obecnego



przełożonego. Obaj długo potajemnie rozmawiali ze sobą. Można by powiedzieć, że omawiali bardzo ważne sprawy. Jednak na koniec rozstali się prostym uściskiem dłoni.

Juarez wstał i popędził ze swoim szwadronem z powrotem drogą, którą przybył dziś rano. Był jak duch zemsty, który znika równie szybko, jak się pojawia, ale zawsze pozostawia za sobą krwawy ślad swoich działań...



CHCESZ PRZECZYTAĆ  
DALSZĄ CZĘŚĆ?

# Łeśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

---

WYLECZENIE



# Kolekcja

# Leśna Różyczka

## CZEŚĆ I – CÓRKA GRANDA

- Tom 1: Walka o miłość
- Tom 2: Uratowana miłość
- Tom 3: Jaskinia z królewskim skarbem

## CZEŚĆ II – W POSZUKIWANIU ZEMSTY

- Tom 1: Wyprawa mścicieli
- Tom 2: Wyleczenie

## CZEŚĆ III – ZWYCIĘSTWO MŚCICIELI

- Tom 1: Porucznik gwardii
- Tom 2: Maksymilian, cesarz Meksyku 1
- Tom 3: Maksymilian, cesarz Meksyku 2
- Tom 4: Maksymilian, cesarz Meksyku 3
- Tom 5: Tajemne posłannictwo
- Tom 6: Zakończenie

**L**eśna Różyczka to powieść o niespotykanym, gigantycznym wręcz rozmachu. Autor często przenosi akcję na różne kontynenty, stosuje zabieg czasowych skoków akcji. W powieści roi się od postaci historycznych, m.in.: cesarz Maksymilian, książe Bismarck, cesarz Wilhelm I. Jednym z głównych bohaterów jest doktor Sternau – pierwowzór późniejszego Old Shatterhanda (alter ego samego pisarza). Jego przygody to zapowiedź późniejszych, najlepszych dzieł autora *Winnetou*. *Leśna Różyczka* pokazała również dużą sprawność Maya w poruszaniu się w tematyce Dzikiego Zachodu i bliskowschodnich przestrzeni Orientu.

Niniejsza kolekcja jest zatem pierwszym polskim wydaniem *Das Waldröschen*, pozbawionym jakichkolwiek zmian i skrótów. Tekst oparty został na pierwszym niemieckim wydaniu. Ilustracje anonimowego twórcy pochodzą z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. MÜNCHMEYER, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.).

Wszystkich, którzy pragną przeżyć dziesiątki niesamowitych, wciągających i mrozących krew w żyłach przygód, serdecznie zapraszam do przeczytania *Leśnej Różyczki* Karola Maya, niezapomnianego klasyka powieści przygodowej.

Wydawnictwo JAMAKASZ | Ruś Śląska 2024  
[www.jamakaszy.pl](http://www.jamakaszy.pl)

ISBN 978-83-66980-01-3 (kolekcja)  
ISBN 978-83-67876-02-5 (tom piąty)